CZWARTEK
Nr 74 26 VI 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

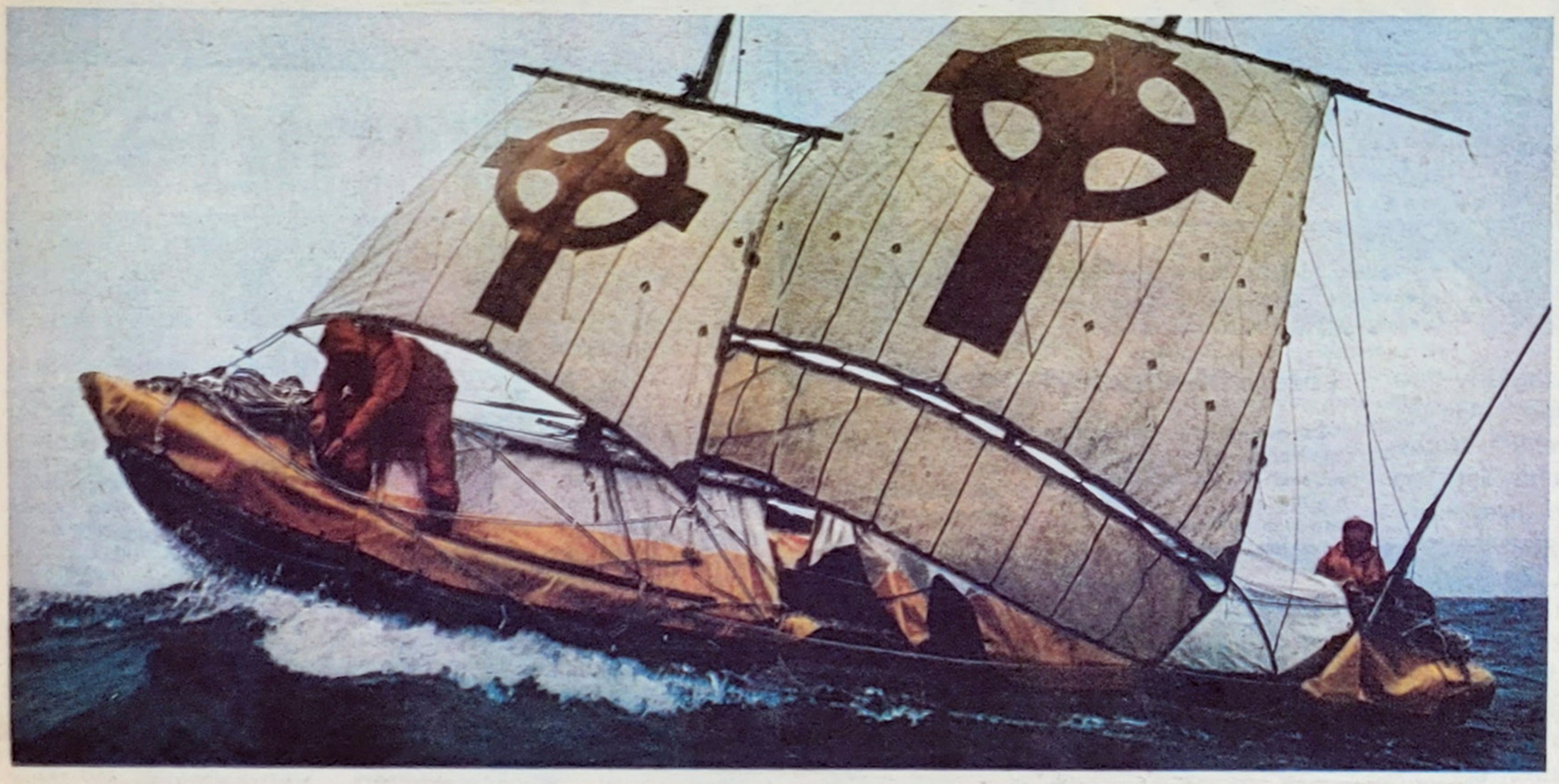

Czy mnich Brendan był odkrywcą Ameryki przed Kolumbem?

500 lat temu w irlandzkich rękopisach znaleziono ciekawą legendę opartą na dawnym pogańskim micie. Legenda ta mówi o tym, jak opat pewnego klasztoru, Brendan, wraz z 17 mnichami w 600 r. n.e. wyruszył na łodzi zrobionej ze skóry z Irlandii przez Ocean Atlantycki do kraju zwanego Krajem Obietnicy Świętych. Najprawdopodobniej ów Kraj Obietnicy Świętych, to Ameryka Północna – a więc Brendan być może był odkrywcą Ameryki przed Wikingami i Kolumbem.

Nie wiadomo czy to mit tylko, czy może wydarzenie autentyczne. Aby choć trochę wyjaśnić tę sprawę, grupa współczesnych młodych ludzi zdecydowała się rzucić wyzwanie legendzie i powtórzyć wyczyn Brendana. Postanowili przepłynąć Atlantyk z Irlandii do Nowego Świata, w skórzanej łódce zbudowanej na wzór legendarnej łodzi Brendana, stosując tę samą technikę i materiały co on. Notatki z tej wyprawy, spisane przez jej kierownika, kapitana Timothy Severina, przeczytacie na str. 5.

12-letni Tomasz Holy kawalerem Dziecięcego Orderu Uśmiechu w CSRS

W Czechosłowacji, wzorem naszego kraju, od 7 już lat najmłodsi przyznają „Order Dziecięcego Uśmiechu" tym, którzy przynoszą im radość. Kawalerem orderu jest co roku tylko jedna osoba, a odznaczenia nadaje się zawsze z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka.

W tym roku dzieci z całej Czechosłowacji nadesłały ponad 40 tys. listów, w których prezentowały swych kandydatów do orderu. Najwięcej głosów od młodych wyborców otrzymał jeden spośród ich rówieśników – 12-letni uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej w Pradze, Tomasz Holy.

Tomasz znany jest w Czechosłowacji – i nie tylko zresztą w tym kraju – z ekranów kinowych i telewizyjnych. Polscy telewidzowie pamiętają zapewnie jego rolę w dwuczęściowym filmie telewizyjnym „Jak wyrwać wielorybowi ząb?" oraz „Jak oddać tatę do domu poprawczego?". Ten chłopiec, mający aktorski talent, a jednocześnie tak bezpośredni, był odtwórcą czołowych ról w 16 filmach fabularnych dla dorosłych i dzieci. W pierwszym swym pełnometrażowym filmie pt.: „Mareczku, podaj mi pióro" wystąpił, gdy miał 6 lat.

(kż)

NACZELNIK ZHP DZIĘKUJE ZUCHOM I HARCERZOM

Wszystkim zastępom, drużynom i szczepom, wszystkim komendom hufców i chorągwi harcerskich, wszystkim harcerzom i instruktorom chciałbym bardzo gorąco podziękować za życzenia i gratulacje, które od Was otrzymałem z okazji wybrania mnie przez Radę Naczelną na funkcję Naczelnika ZHP. Dziękuję Wam z całego serca! Za miłe słowa i za to, że jesteście zawsze gotowi nie ustawać w wysiłkach, aby nasza organizacja była coraz lepsza, aby praca w niej przynosiła prawdziwą przyjemność i satysfakcję każdemu z nas. Tej przyjemności i satysfakcji, osiągnięcia sukcesów i spełnienia marzeń ja Wam z kolei życzę.

hm PL Andrzej Ornat

Trzymiesięczny miś „Bubu" na delegacji

KATOWICE (PAP). Najbardziej cennymi, nowymi nabytkami Śląskiego Ogrodu Zoologicznego w Katowicach-Chorzowie są dwie młode papugi ara. Niedawno przybyły też dwa pancerniki. Zwiedzający mogą także podziwiać małego hipopotama, trzy małe kangury, tapira, wielbłąda oraz owocożernego nietoperza kalonga, zwanego również rudawką, choć wcale nie jest rudy. Największą popularnością cieszy się jednak jeszcze jeden „maluch", mianowicie 3-miesięczny miś „Bubu", którego oglądać można nie tylko w ZOO. Wyjeżdża on bowiem... w delegacje, na spotkania z dziećmi, do wielu klubów i domów kultury.

(kż)

NA JEDWABIU MALOWANE

Jedyna w kraju fabryka jedwabiu naturalnego w Milanówku pod Warszawą dostarczy w br. ponad trzy i pół miliona metrów tkanin drukowanych, gładko barwionych i ręcznie malowanych. Najbardziej oryginalna produkcja – to tkaniny malowane ręcznie – zarówno kupony materiałów sukienkowych, jak i apaszki, szale, chustki i krawaty. Specyficzne zdobienie tkanin pozwala na uzyskiwanie dużej różnorodności wzorów, praktycznie nie powtarzających się.

W Zakładach pracuje czterdzieści malarek, niektóre z nich są tam zatrudnione od wielu lat. Do perfekcji w swoim zawodzie dochodzą m.in. dzięki systematycznemu szkoleniu, prowadzonym przez plastyków. **(mj)**

Fot. **CAF**

Naturalny dystrybutor wody

AUSTRALIA (PAP). Na australijskim kontynencie rośnie drzewo, które śmiało można nazwać dystrybutorem wody. Po nacięciu w odpowiednim miejscu pnia tego drzewa wypływa z niego strumień czystej, smacznej, a nawet zimnej wody. Drzewo, zwane przez tubylców „źródlanym", ma tę właściwość, że w okresie pory deszczowej gromadzi w swym pniu zapas wody, by ją zużytkować w porze suchej. Z tego magazynu wodnego korzystają jednak bardzo często ludzie. Po nacięciu nie wypływa jednak cały zapas wody, lecz tylko jego część. Reszta zostaje zatrzymana na skutek zasklepiania się naczyń drzewa. Dzięki temu drzewo nie daje się pozbawić całego swego cennego zapasu. **(kż)**

Ciężkowickie palamentry bezbłędnie przewidują pogodę

TARNÓW (PAP). W Ciężkowicach (woj. tarnowskie) powstają niezwykle czułe i dokładnie określające pogodę ludowe barometry, zwane przez miejscową ludność palamentrami. Wykonuje te ciekawe urządzenia artysta ludowy i kolekcjoner Jacek Wilczyński. Są to kolorowo malowane deseczki z kogucikiem na górze i z wymalowanymi fazami księżyca oraz słońcem pośrodku. Kogucik trzyma w dziobie skręconą roślinkę, iglicę, która zmienia swoje położenie w zależności od zmian pogody i warunków atmosferycznych. Raz wskazuje deszcz, to znowu mgłę albo pogodę. Autor barometrów twierdzi, iż przepowiadają one zmiany pogody bezbłędnie. **(kż)**

Lubelska Chorągiew ZHP zorganizowała w Dąbrowie k. Lublina stanicę NAL. Prowadzone są tam tygodniowe turnusy obozowe dla 150 dzieci, nie tylko członków ZHP. Uczestnicy NAL mają zapewnione całodzienne wyżywienie, fachową opiekę, a co najważniejsze ciekawe propozycje wypoczynku. **(mj)**

Fot. **CAF**

O tym warto wiedzieć

ZIELONE ŚWIATŁO DLA MAŁEJ ENERGETYKI

Temat ten szczególnie polecamy uwadze uczestników Harcerskiej Służby Wiśle. Bo też przede wszystkim oni spotykać się będą na co dzień z pojęciem: „mała retencja". Mała energetyka i mała retencja – to sprawy ściśle związane ze sobą. Właśnie przygotowywana jest rządowa uchwała o rozwoju małej energetyki. Najważniejsze miejsce będzie w niej miała...

● MAŁA ENERGETYKA WODNA. Jak się przewiduje – około 700 małych rzek i strumieni nadaje się u nas do celów energetycznych. W związku z tym planujemy wybudować do roku 2000 ok. 400 małych elektrowni wodnych, związanych z przedsiębiorstwami uspołecznionymi (tartaki, fermy itp), a do tego – 500 małych siłowni w sektorze nieuspołecznionym. Piszemy – wybudować, ale często faktycznie chodzi tu o odbudowę. Przypomnijmy, że jeszcze w 1954 r. było w Polsce 7130 małych siłowni, z tego 6330 czynnych. Obliczamy, że małe obiekty energetyczne zapewnią 300 MW mocy, 1200 GWh energii elektrycznej rocznie i pozwolą w ciągu roku zaoszczędzić 800 tys. ton węgla. Koszt przedsięwzięcia 9,5 mld zł w ciągu 20 lat.

W tej chwili podstawową przeszkodą w realizacji tego programu jest brak niezbędnych urządzeń. Przemysł nasz nie jest przygotowany do ich wytwarzania – i nic dziwnego, skoro myśl o małej energetyce w ciągu ostatnich 20 lat została niemal definitywnie pogrzebana. Jednak produkcja dla niej ma być wznowiona od podstawy. Na szczęście – jakby przewidując to, co nastąpi – Zakład Turbin Wodnych i Pomp Politechniki Gdańskiej od lat pracował nad całą serią małych turbin wodnych. Dziś – jak znalazł. Produkcją turbin dla małych spadków wodnych ma się też zająć DOZAMET w Nowej Soli. Zaś generatory do tych turbin zacznie wytwarzać znany skądinąd z produkcji urządzeń gigantycznych DOLMEL z Wrocławia. Wreszcie – układy sterowania i automatyka będą dziełem Zakładu Remontowego Energetyki w Gdańsku. Od 1982 r. przemysł ma dostarczyć wszystkie urządzenia potrzebne małym hydroelektrowniom.

● ENERGIA SŁONECZNA – to drugi temat małej energetyki, stale zresztą przez „ŚM" relacjonowany. Wystarczy tu więc wspomnieć, że ENERGOPOMIAR wykonał 50 kolektorów do podgrzewania wody do temperatury 60–80 °C, zaś na AGH w Krakowie mówi się o wyprodukowaniu 1200 kolektorów. Przykładów jest więcej i wygląda na to, że energetyka słoneczna wychodzi u nas ze stadium teorii i... fantazji.

● WIATRAKI – do nich też chcemy wrócić, zwłaszcza, że wiejące u nas wiatry mają akurat pożądane do ich uruchomiania prędkości – podobne, jak w Danii, uważanej za kraj doskonale sprzyjający budowie wiatraków. Przewiduje się, że u nas byłyby one szczególnie przydatne do przepompowania wody w systemach melioracyjnych.

● BIOGAZ. Jego produkcja to nie tylko zmniejszenie ilości i szkodliwości ścieków – biogazem można napędzać agregaty prądotwórcze i stąd uchwała Rady Ministrów z lutego br. nakazująca naszemu przemysłowi zajęcie się tym źródłem energii. Jak choćby z tego ostatniego przykładu widać – mała energetyka ma już za sobą okres sporów i dyskusji. Zaczynamy ją realizować. (tok)

1980 ● CZŁOWIEK ● KRAJ ● ŚWIAT ● 1980 ● CZŁOWIEK ● KRAJ ● ŚWIAT ● 1980

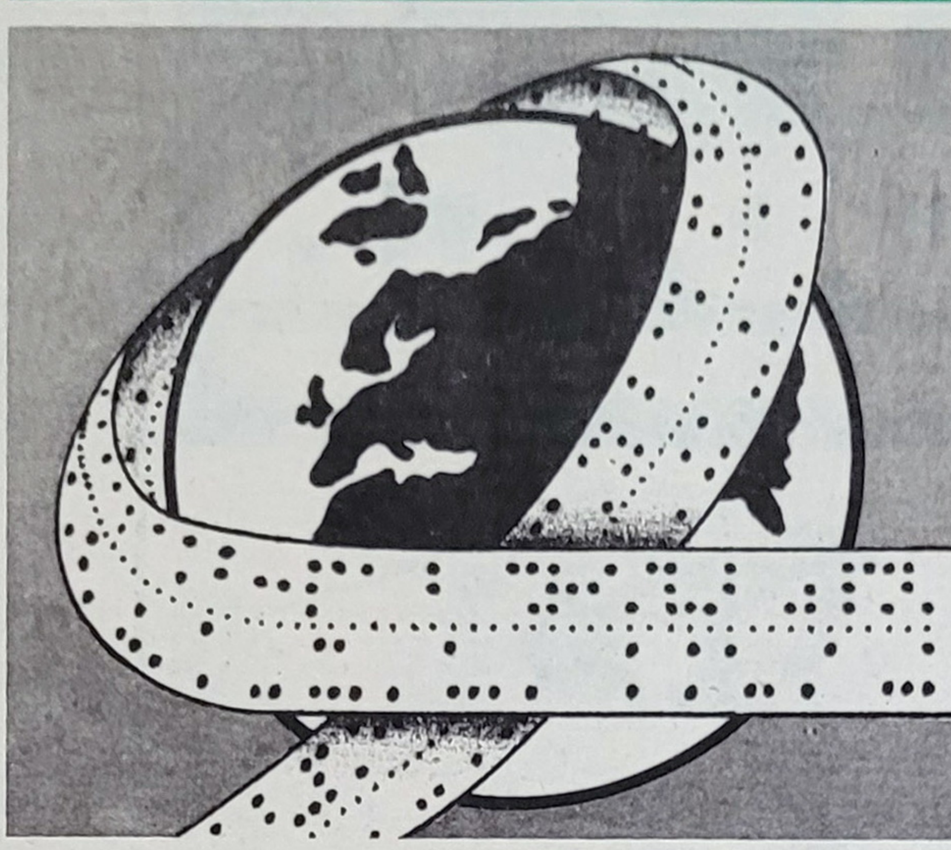

PAP informuje...

Kiedy sięgamy po „Trybunę", „Głos", czy „Express", trafiamy natychmiast na znajomego autora. Pisze dużo, stale i systematycznie. Zna się na wszystkim. Nadsyła informacje z Mławy i Nowego Jorku, z Mazur i Wysp Bahama. Jest jednocześnie w siedzibie ONZ, na meczu Liverpool–Nottingham, w Domu Kultury w Siedlcach i na obradach Salt–II. Nadzwyczaj operatywny, posiada wszędzie sobie tylko wiadome „dojście". Rozmawiają z nim mężowie stanu, laureaci Nagrody Nobla, słynni aktorzy i sportowcy. Ma informacje z pierwszej ręki, bez względu na to, czy rzecz dzieje się w Polsce czy w Afryce, na ziemi czy w kosmosie. Podpisuje się krótko – PAP. Pełne imię tego „reportera" brzmi: POLSKA AGENCJA PRASOWA.

Lotem błyskawicy

Zamach stanu w Liberii. Kilka minut później reporter agencji Associated Press przekazuje wieść o przewrocie do centrum komputerowego w Nowym Jorku. Stąd mknie ona drogą radiową lub dalekopisowymi łączami do wszystkich odbiorców, także do warszawskiej centrali PAP. Redaktor dyżurny w mgnieniu oka opracowuje obcojęzyczną informację, na którą czekają już w drukarniach, w radiu, w telewizji. Za chwilę usłyszymy ją w domach, a rankiem przeczytamy o szczegółach w gazetach.

Podobnych informacji dociera do Polskiej Agencji Prasowej tysiące. Wielkie światowe agencje – TASS, Reuter, AFP, AP, UPI, mające swych informatorów w setkach krajów, to tylko jedno z licznych źródeł, z których PAP czerpie wieści ze świata. Tam, gdzie dzieją się sprawy ważne i ciekawe, wyruszają specjalni wysłannicy agencji, a ponadto w 25 krajach Europy i innych kontynentów działają zagraniczne placówki PAP. Umowy z innymi agencjami zapewniają stały dopływ informacji z różnych zakątków globu.

Puls świata

Agencje prasowe pojawiły się już w pierwszej połowie minionego stulecia. Francuz Charles Havas, twórca pierwszej z nich, miał doskonały pomysł. Podchwycił go nieco później Anglik Reuter, założyciel agencji, która dziś jest światową potęgą. Trudno wyobrazić sobie obecnie przekaz informacji o tym, czym żyje świat, bez agencji prasowych.

Za czasów Havasa najszybszym środkiem przekazu był... gołąb pocztowy. Zastąpił go potem telegraf, a z czasem – fale radiowe. Dziś używa się najczęściej automatycznych dalekopisów, urządzeń, które umożliwiają błyskawiczny przepływ informacji bez względu na odległość miejsca zdarzenia od centrum odbioru. Dzięki temu, w Warszawie, Moskwie, Nowym Jorku wiadomo jednocześnie o tym, co pięć minut wcześniej wydarzyło się w Sydney.

Milion słów...

... dziennie trafia do centrali PAP. Gęsto zapisane różnojęzycznym tekstem taśmy papieru spływające z dalekopisów, to aktualna kronika tego, co wydarzyło się na świecie. Sztab dziennikarzy penetruje dniem i nocą to „morze" materiałów, by wybrać i przekazać dalej wiadomości najciekawsze. Szybko, jak najszybciej. Maszyny rotacyjne w drukarniach już pracują, zbliża się godzina kolejnego wydania radiowego dziennika. Czas nagli.

Świat interesuje się też tym, co wydarzyło się w Polsce. Specjalna redakcja zajmuje się przekazywaniem relacji z krajowych wydarzeń za granicę. W kilkunastu językach. W każdym mieście wojewódzkim działa krajowy oddział PAP. Niczym detektywi, śledzą agencyjni reporterzy wydarzenia na swoim terenie, a o ważniejszych natychmiast informują centralę. Rzut oka redaktora dyżurnego, niezbędna adiustacja i już teletypistki perforują dalekopisową taśmę. Chwilę później wiadomość dociera do krajowego i zagranicznego odbiorcy.

I tak co dnia napływają do PAP, by za moment wyruszyć w dalszą drogę, tysiące informacji o życiu, o świecie.

Fala 421...

PAP jest agencją nowoczesną, wyposażoną we wszystkie zdobycze techniki. Sztab fachowców, dla których skomplikowane urządzenia nadawczo-odbiorcze nie mają tajemnic, automatyczne dalekopisy, displeye, wideskopy, transtele, najszybsze w kraju teletypistki, wreszcie kilkuset dziennikarzy-reporterów, czynią z agencji potężne centrum informacji.

Pracują jeszcze w PAP ci, którzy pamiętają początki. Agencja powstała w lipcu 1944 r. pod nazwą „Polpress". Głównym środkiem łączności było wówczas dyktando radiowe, nadawane w programie radiowym Warszawa II, na fali 421. Informacje ze świata odbierano alfabetem Morse'a, a nie gardzono żadnym sposobem przekazu, przy czym „goniec" był jednym z najpewniejszych. Do historii przeszła podróż pęwnej informacji z Sofii, nadanej w sierpniu, a otrzymanej w grudniu...

Reporterzy agencji byli żołnierzami. Walczyli i pracowali, informując o wydarzeniach na froncie i jego zapleczu, na wyzwolonych już terenach kraju. 17 stycznia 1945 r. agencja przekazała historyczną informację: „Warszawa wolna".

Żywa kronika

Polska Agencja Prasowa była i jest wiernym kronikarzem rozwoju Polski, życia w kraju i na świecie. Biuletyn informacyjny to tylko jedna z form publikacji agencyjnych. PAP opracowuje także cały szereg wydawnictw specjalnych, zawierających reportaże, sprawozdania, komentarze, relacje. Funkcjonuje tu jedyny w swoim rodzaju, Dział Dokumentacji Prasowej. Z PAP uzyskuje wiadomości popularna informacja telefoniczna, tu przygotowywany jest „Głos Marynarza" – przeznaczony dla załóg naszych statków, a także specjalny serwis dla polskich ambasad.

Dyżur trwa...

Życie toczy się nieustannie, toteż i PAP pracuje bez przerw. Od 35 z górą lat. Dniem i nocą skomplikowana machina jest w ruchu, a informacje płyną stale. Niełatwa jest praca agencyjnego dziennikarza. W trudnych nieraz warunkach wykonuje swe zadania – podczas wojen domowych i konfliktów zbrojnych, na terenach nawiedzonych klęskami żywiołowymi, wśród przyjaciół, ale też wśród wrogów.

Tempo jest jego głównym obowiązkiem. W agencyjnym wyścigu kto pierwszy, ten lepszy. Mylić się nie wolno, gdyż każdy błąd jest natychmiast rozpowszechniony.

Misternie skonstruowany system obiegu informacji sprawia, że świat jest coraz mniejszy. Dziś nic już nie ukryje się przed reporterem. Codziennie dowiadujemy się o nowych, aktualnych wydarzeniach, nie zastanawiając się nawet, jak trafiają one do nas.

Drobny podpis „PAP" umyka uwadze, choć kryje za sobą skomplikowaną operację z udziałem wielu ludzi i najnowszych zdobyczy techniki. A wszystko po to, by człowiek wiedział jak najwięcej i najszybciej. By świat nie miał dla nas tajemnic.

TOMASZ TRZCIŃSKI
Rys. G. Klechniowska

Metoda „powietrza"

Zeźliłam się. Wydatnie pomogły mi w tym dwie dziewczyny w wieku nastoletnim. Miejsce zeźlenia: dworzec PKS Wrocław. Czas: godziny przedpołudniowe. Przyczyny? Było tak: Autobus do Dzierżoniowa miał odjechać za godzinę. Bilety w kasie. Stała przed nią kolejka licząca dwadzieścia parę osób. A one? One nie takie głupie, żeby stać w kolejce! Podeszły do będącego już prawie przy kasie chłopaka.

– Pan nam kupi bilety do Dzierżoniowa – powiedziały, nawet nie starając się o szept. Podały pieniądze. Chłopak kupił mimo protestów kilku osób. Dziewczyny stały, ze stoickim spokojem wysłuchując uwag oburzonych ludzi, jakby ich one nie dotyczyły. Może miały jakiś powód, spieszyły się, musiały coś jeszcze przed odjazdem załatwić? Nic z tych rzeczy. Siedziały potem na dworcowej ławce, narzekając: „Co tu robić, jeszcze prawie godzina czekania". A może nie starczyłoby dla nich biletów, gdyby odstały swoje w kolejce? Też nie. Autobus odjechał z kilkoma wolnymi miejscami. Dziewczyny zastosowały po prostu metodę „powietrza". Nie dostrzegły, że przed kasą jest kolejka, że być może stoją w niej ludzie, którym rzeczywiście się spieszy. Jaka kolejka? Przecież tam nikogo nie ma: To tylko „powietrze"!

Zapomniałabym chyba o tej historii, gdyby nie dzisiejsze zdarzenie w Samie. Znów miałam wątpliwą radość poczucia się niewidzialną. Na koszyki czekało kilka osób. Niepisany zwyczaj podawania pustych koszyków od końca kolejki do początku funkcjonował sprawnie przez dwie minuty, po czym stojący na końcu kolejki mężczyzna znudził się widocznie swoją rolą, bo wziął koszyk i zamiast go przesunąć do przodu, pomaszerował po zakupy. Byliśmy tak zaskoczeni, że nikt nie zareagował. A właściwie co można było zrobić? Wezwać milicję? Przecież ten obywatel nie popełnił żadnego wykroczenia. To drobiazg. Jak ktoś głupi, to niech karnie stoi w kolejce. Inni, cwani, są ponad to. Ich metoda jest prosta i niekosztowna. Wystarczy przyjąć, że obok nie ma żadnych osób, jest tylko powietrze.

Jasne? Jak wybuch Supernowej. Skuteczność? Póki co, stuprocentowa – patrz wyżej na przykłady. Czy są pytania? Tak. Pierwsze: Co się będzie działo przy upowszechnieniu tej metody, to znaczy, gdy wszyscy zaczną ją stosować? Jak sądzę, najpełniejszej odpowiedzi mogą udzielić twórcy dreszczowców lub biolodzy specjalizujący się w dżunglologii.

Pytanie drugie: Czy ktoś traktowany jak powietrze zechce się zmaterializować w sytuacji, gdy stosujący tę metodę będzie coś od niego potrzebował? Mam wątpliwości.

Pytanie trzecie, dodatkowe. Dla miłośników przyrody. Co się dzieje, gdy powietrze jest traktowane jak „powietrze"? Odpowiedź nie jest tajemnicą: wzrasta wtedy zanieczyszczenie atmosfery, a szkodliwe skutki tego zjawiska ponosimy wszyscy. Bo powietrze jest nam do życia niezbędne. A więc nazwa tej metody nie jest chyba najtrafniejsza. Może ją zmienić na „niewidzialność"? A co na to powiedzą uczestnicy akcji Niewidzialna Ręka, którzy starają się być niedostrzegalni z własnej woli i w zupełnie innym celu?

Pal licho nazwę! Mam nadzieję, że za wyżej opisaną metodę Nobla nikt nie dostanie.

ANNA PACIOREK

Konserwować, to znaczy dawać nowe życie...

Architekt z wykształcenia, którego pochłonęła całkowicie ochrona zabytków. Rekonstruował warszawską Starówkę. Trwałe ślady jego działalności znajdujemy w wielu miastach. Po wojnie, do 1957 roku, był generalnym konserwatorem PRL. Profesor JAN ZACHWATOWICZ – wielki autorytet światowy w dziedzinie konserwacji zabytków. Ostatnio znalazł się w gronie osób, którym minister spraw zagranicznych przyznał za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej dyplomy uznania

Profesor Jan Zachwatowicz odbiera z rąk ministra spraw zagranicznych – Emila Wojtaszka dyplom uznania „za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej za granicą"

– Panie Profesorze, mówi się o polskiej szkole konserwacji. Co to jest?

– Ja tego tak nie nazywam. Proces odtwarzania zabytków, to nie szkoła, lecz historyczna i patriotyczno-narodowa konieczność. Osobliwością naszego działania, które znalazło uznanie w świecie, jest włączenie zabytku do współczesnego życia, chyba, że z góry wyznaczymy mu rolę romantycznej ruiny. Nic nowego zresztą pod słońcem. Uznałem za swoje hasło piętnastowieczną maksymę: *Conservare est novam vitam dare – konserwować, to znaczy dawać nowe życie*, dlatego używamy określenia rewaloryzacja.

– Na czym ona polega?

– Każdy pojedynczy obiekt, czy zespół zabytkowy ma swoją funkcie i trzeba znaleźć użytkownika, który będzie odpowiadał za jego stan dzisiejszy. Nie chodzi nam o powierzchowny zabieg odnowienia, wyłącznie estetyczne podejście do sprawy. Starym budynkom mieszkalnym przywracamy szatę architektoniczną, ale jednocześnie wyposażamy ich wnętrza wedle wymagań dnia dzisiejszego. Bezsensem byłoby tracić wartości kulturowe, które możemy uratować, aby służyły także następnym pokoleniom.

– Niektórzy mówią, że to drogo kosztuje...

– Fałszywy pogląd, nawet taniej niż nowe budownictwo. Rewaloryzacja współdziała więc jednocześnie z olbrzymimi zadaniami społecznymi. Łączy się z nią także ochrona przyrody. Uważam nawet, że niektóre parki, które zostały powycinane, też powinny być odtworzone. Piękno krajobrazu, to też część dorobku kultury narodowej.

– Jak nas widzą za granicą?

– Nasza praktyczna troska o restaurację i rewaloryzację jest obserwowana na świecie z wielkim zainteresowaniem. Podchwytuje się naszą myśl i samą organizację pracy, a z drugiej strony my także korzystamy z tej współpracy. Wiemy dobrze co, gdzie się dzieje. Ja i prof. Lorentz jesteśmy honorowymi członkami ICOMOS – Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków. Wiele krajów szuka kontaktów z naszymi Pracowniami Konserwacji Zabytków. Zwracają się z zaufaniem o pomoc do naszych specjalistów przy rozwiązywaniu trudniejszych zadań.

– Cieszy to wszystko, co się już udało przywrócić do życia, ale tyle zabytków czeka jeszcze, jak gołym okiem widać, na odsiecz.

– Czas jest bezlitosny. To, co nie zostało we właściwy sposób przynajmniej zabezpieczone, ulega dalszemu zniszczeniu, stąd nasze niepokoje i alarmy. Stosunkowo rzadko rozwiązuje się sprawy do końca. Zgłasza się jakiś mecenas: wziął i nie dokończył. Ale gdybym nie był optymistą, nie podejmowałbym się jednak w 1944 r. zadań, które zdawały się wykraczać poza ludzkie możliwości. Serce rośnie, gdy patrzy się na nowe życie w zamkach: Pieskowa Skała, Baranów, Tuczno, Nidzica, które mają dobrych opiekunów. Największa to satysfakcja, gdy myśl konserwatorska przybiera konkretne formy.

– Tyle narzekań słyszy się na współczesną architekturę...

– Każdy czas ma swoją architekturę. Stała się ona bardziej uniwersalna, bliższa rozwiązaniom powszechnym. Mnie najbardziej martwi jedna wielka przegrana i to na długie lata – budownictwo na wsi. Brak w nim całkowicie myśli urbanistycznej. Jest to przykre tym bardziej, że polska urbanistyka ma dobrą opinię w świecie.

BARBARA HENKEL
(Interpress)
Fot. **CAF**

Z WDZIĘKIEM KOCHANI, Z WDZIĘKIEM!

Wtorek, godzina szesnasta. Zwykle o tej porze w budynku szkolnym jest cicho i pusto. Tylko pani woźna krząta się po korytarzu. Zagląda niemal w każdy kąt, by jutro jak zwykle szkoła była czysta. Czasami odbywają się spotkania kół zainteresowań, ale i wtedy jest spokój. Dopiero kiedy do szkoły przyjdą harcerze z zespołu tanecznego, zaczyna się gwar.

Oni robią najwięcej hałasu. – Ale jak tańczą, jak śpiewają, aż serce się raduje – uśmiecha się pani woźna. – Rozleniwiają człowieka okrutnie, bo zamiast szybko sprzątać szkołę i rwać do domu, przyglądam się tej wesołej dzieciarni. O, znowu moja ulubiona polka... – i pani woźna raźno przytupuje nogą machając szczotką.

Nie tylko pani woźna podpatruje tańczących. Kibiców jest więcej. Pod oknami sali gimnastycznej cztery starsze panie też rozmawiają o zespole.

– Oni tak ślicznie tańczą, a przy tym są mili i uśmiechnięci. Na ostatnim spotkaniu w naszym klubie seniorów było cudownie.

Harcerska Drużyna Taneczna „Malwy" ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Lublinie powstała dziewięć lat temu, a jej założycielką jest druhna Danuta Gryczan. W ciągu kilku lat przez szeregi zespołu przewinęło się kilkadziesiąt osób. Dzisiaj pierwsi jej członkowie są już studentami i w większości należą do Zespołu UMCS. Ale ze swoim pierwszym zespołem nie rozstają się. Przychodzą prawie na każdą zbiórkę jako instruktorzy, bo – jak twierdzą – pracy w szkole jest teraz znacznie więcej.

Dawniej do zespołu należeli nieliczni. Dzisiaj chętnych jest ponad czterdziestu. I chociaż nie wszyscy tańczą w pierwszym zespole, to wcale z nauki tańca nie rezygnują. Należą, bo lubią tańczyć, bo chcą się nauczyć podstawowych kroków walca, tanga, czardasza. A dziewczyny – jak to dziewczyny. Uważają, że taniec dodaje im uroku i wdzięku. Na szkolnej zabawie, na prywatce, mogą podobać się innym, zaimponować pięknym walcem, a nie tylko tańcem w rytm popmusic.

Sala gimnastyczna. Próba pierwszego zespołu. Pozostali ćwiczą w klasach pod okiem swoich starszych kolegów. Z ukrytego gdzieś w kącie magnetofonu dobiega znana wszystkim melodia krakowska. Głos dh. Gryczan.

– Stop! Ewka, a cóż to za marsowa mina, uśmiechaj się dziewczyno! Jacek, więcej zwinności, bo ruszasz się jak słoń. Jeszcze raz powtarzamy! Ostatnią figurę, ale z wdziękiem kochani, z wdziękiem!

Chociaż niektórzy ukradkiem ocierają spocone czoła, a w nogach czują ponad dwugodzinną próbę – nie sprzeciwiają się. Zaczynają tańczyć od nowa jakby to był ich pierwszy taniec tego dnia. Nie jest to jednak ani pierwszy, ani ostatni taniec. Po próbie w szkole będą ćwiczyć w domu, dla dobra sprawy.

– Chcemy w tym roku pojechać do Kielc – mówi Magda z klasy VI. – Nie udawało się do tej pory, to może teraz... Był już taki rok, kiedy mieliśmy jechać. Ćwiczyliśmy wówczas jak zwariowani – nie było ani dnia wolnego, ani chwili odpoczynku. Rodzice cieszyli się razem z nami, że nareszcie wyruszymy poza Lublin. I klops! Nie pojechaliśmy. Dlaczego? Nie wiemy, zwodzono nas do ostatniej chwili. Pojechali inni.

– Tych występów przed nową, nieznaną publicznością brakuje nam bardzo – mówi dh. Gryczan. – Poprzez to czujemy się trochę jak kopciuszek, bo niby zespół dobry, podziwiany, ale jak potrzeba uświetnić jakąś imprezę – zapraszają innych, znanych, z rutyną niemal zawodową.

Na jednym z festiwali zostaliśmy wyróżnieni i był to dla nas ogromny sukces. Nie liczyliśmy na nic więcej. Dopiero gdy pani z jury szepnęła, że choć jesteśmy fajni, wyżej pójdzie zespół od lat znany (choć w danej chwili nie najlepszy), zrobiło nam się żal. Pomyśleliśmy wówczas, że bez „bogatego wujka" nie wypłyniemy na szersze wody. W pewnym momencie chcieliśmy nawet zrezygnować z pracy, z tego naszego tańczenia. Ale dzieciaki powiedziały, że chcą nadal tańczyć, tylko dla siebie, dla własnej przyjemności.

Harcerze z drużyny tanecznej mają w swoim repertuarze nie tylko ludowe tańce polskie, rosyjskie i węgierskie, ale także bawią dowcipnymi inscenizacjami. Jedna z nich opowiada o typowej szkolnej przerwie, oczywiście na wesoło. Ciekawą inscenizacją jest także rosyjska... bulba. Właśnie przez tę bulbę harcerze podbili serce prezydenta Lublina. W nagrodę za tak ciekawy występ prezydent ufundował im oryginalne buty do krakowiaka.

O takich krakowskich butach harcerze marzyli od dawna, ale sami nie mogli sobie pozwolić na tak drogi zakup. Nie otrzymują przecież żadnych dotacji, a wypracowane przez nich pieniądze wystarczają jedynie na wstążki do wianków i gorsetów. No i czasami na spotkanie całej drużyny przy herbacie i ciastku.

Dochodzi godzina dziewiętnasta. Czas kończyć zbiórkę. Jeszcze tylko jeden taniec i wszyscy biegną do pracowni prac ręcznych. Tutaj w ruch idą nożyce, igły, kolorowe nici. Za miesiąc stroje do tańca łowickiego będą gotowe.

Wszystkie stroje, które posiadają, wykonali sami. Część potrzebnych materiałów otrzymali od spółdzielni „Przełom", część od rodziców. – A pracy przy uszyciu stroju ludowego jest masa – mówi Anka – bo jego atrakcyjność polega na oryginalności wzorów, których nie możemy uprościć. Chociażby dlatego, że zaprzyjaźniony z nami choreograf z Zespołu Tanecznego z Brześcia bacznie strzeże, by wszystko było jak należy w strojach czy to białoruskich, czy mołdawskich.

W piątek harcerze spotkają się znowu, ale tym razem będzie to typowa harcerska zbiórka, na której postanowili opracować plan działalności dla grup podwórkowych.

DANUTA NIEDŹWIECKA
Fot. **G. Gryczan**

KLUB ZIELONEGO PURCHLA

Ptaszki, których nie ma

Jeszcze się na dobre nie zaczęło, a już się pokiełbasiło do niemożliwości! Mam oczywiście na myśli wyłącznie nasz wspaniały klub, a właściwie jego wakacyjne powołanie do powtórnego życia. Powtórnego, gdyż, jak niektórzy pamiętają, po raz pierwszy rozwinęliśmy skrzydła już w roku ubiegłym, co się skończyło aferą z 20 kg cukierków, które po wielu perypetiach przeszły na własność **Ireneusza Kowieskiego** ze Szczecina, **zastępu „Promyk"** z Łososiny Górnej, oraz **Jarosława Dameckiego** z Zielonej Góry. Ta trójka została wybrana spośród kilkudziesięciu finalistów trwającego przez całe lato konkursu na najdziwaczniejsze wakacyjne zdjęcia.

W tym roku postanowiłem, że oprócz **STAŁEGO KONKURSU** na projekty zupełnie nieprzydatnych do niczego urządzeń, bezsensownych zajęć i zwariowanych gier – będziemy sobie fundować co jakiś czas **EKSTRA KONKURSY**. A wszystko to dlatego, że mam nie 3 (słownie: trzy), ale aż 75 (słownie: siedemdziesiąt pięć!) nagród i nie mogę się wprost doczekać by jak najwięcej z nich rozesłać na cztery strony świata. Kto chce wiedzieć jakie to nagrody – niech sobie przeczyta nr 69 „ŚM" z 14.VI.80

No więc, drżąc z niecierpliwości ogłosiłem pierwszy z **EKSTRA KONKURSÓW** w tym właśnie numerze, ale kiedy przyszedł on z drukarni, jeszcze pachnący farbą, okazało się... że nie ma w nim żadnego mojego ogłoszenia tylko dwa zwariowane ptaszki, które miały mój pierwszy umiłowany konkurs ozdabiać!

I to jest właśnie to pokiełbaszenie, które zupełnie nie wiadomo skąd się wzięło...

W ZWIĄZKU Z TYM OGŁASZAM DOPIERO DZIŚ EKSTRA KONKURS pt. „PTAKI, KTÓRYCH NIE MA".

Rysujcie wszystko, co w związku z tym ćwierkającym tematem przyjdzie Wam do głowy, a co długopisy, flamastry, kredki i farbki wytrzymają. Czym bardziej nieprawdopodobne stwory zaczną do mnie przylatywać – tym większą radość sprawicie nie tylko mnie, ale i wszystkim czytelnikom „Świata Młodych". Bo uprzedzam lojalnie: **najzabawniejsze dziwadła wydrukuję! Nagrody czekają!** Na malowanie daję Wam tydzień czasu, listy z ptaszkami można więc wysyłać najpóźniej do dnia 3 lipca – decyduje data stempla pocztowego. Mój adres: **„Świat Młodych", 00-561 WARSZAWA, ul. Mokotowska 24**. Na kopercie naklejcie mój znaczek lub dopiszcie: **dla Zielonego P.**

Rys. **Zielony P.**

Tym optymistycznym akcentem kończąc, żegnam Was i do ponownego spotkania!

KRAJOWY FINAŁ XXV LEKKOATLETYCZNEGO CZWÓRBOJU PRZYJAŹNI „ŚWIATA MŁODYCH"

Na przekór warunkom

W Turku słońca ani na lekarstwo. Padający bez przerwy deszcz czyni z boiska grząskie bajoro. Dokucza chłód. Nie spodziewamy się więc rewelacyjnych rezultatów. Ale zziębnięte zawodniczki ochoczo stają w startowych blokach. Padają pierwsze strzały. Dystans 60 m. Notujemy wyniki. Nie jest źle. 8,4 sek. uzyskuje sporo dziewcząt, a Marta Gajewska z Nowego Sącza nawet 8,3. Ale oto głos spikera oznajmia, że Agata Fornal z maleńkiej szkoły w Lubatowej koło Krosna osiąga czas 8,2. Agata jest szczęśliwa! W Lubatowej praktycznie nie ma na czym biegać i o tak poważnym sukcesie nawet nie śmiała marzyć.

W grupie chłopców sytuacja podobna; Mariusz Mocała z Bielska-Białej (SP 21) ma czas 7,6 sek! Darek Batog z Międzychodu (woj. gorzowskie) ustępuje Mariuszowi tylko o 0,2 sek.

Zacięta rywalizacja trwa również na rzutni. Tu prym wiedzie uczennica SP 15 z Bydgoszczy. Podopieczna naszego byłego olimpijczyka, Witolda Barana – Ewa Stebnicka – posyła piłeczkę na odległość 50 m. Ale przeciwniczki też są w formie, aż trzy z nich rzucają powyżej 49 m. Niektóre zespoły wybrały pchnięcie ważącą 3 kg kulą. W tej konkurencji najlepsza jest Dorota Kusy z Zamościa – 9,61 m. Nie tylko wynik Doroty jest godny uwagi, ale także styl wykonywania poszczególnych prób – poprawny technicznie, wykonany szybko, dynamicznie.

Wiele emocji dostarczają nam skoki wzwyż chłopców. Najpierw Radek Mróz z Kluczborka, później szy triumfator w klasyfikacji indywidualnej i zespołowej, pokonuje poprzeczkę na wysokości 155 cm, a w chwilę później Jacek Rogiński z Łomży o 3 cm wyżej. Ale odpowiedź Jacka Zatorskiego z Sochaczewa jest błyskawiczna – 161 cm. Warto dodać, że sochaczewianin minimalnie strącił poprzeczkę umieszczoną na 164 cm. Ma ogromne możliwości i chyba je wykorzysta już w najbliższej przyszłości.

Pokaz idealnego technicznie skoku dała Grażyna Kośnik z Ostrołęki. To jej koronna konkurencja – Grażyna jest w kadrze kraju. Rezultatem 156 cm, można wygrywać nawet międzynarodowe imprezy. Kośnik posiada wprost doskonałe warunki fizyczne i – jak zapewnia jej trener, pan Edward Górecki – potrafi pracować.

Rośnie groźna rywalka Urszuli Kielan.

Klasyfikacja zespołowa zmienia się niemal po każdej próbie. Najbardziej zagmatwana sytuacja panuje w grupie dziewcząt. Po trzech konkurencjach szanse na ostateczny sukces mają aż cztery drużyny. O wszystkim zadecydują więc biegi wytrzymałościowe. Wprawdzie reprezentantki Ostrołęki nie odnoszą na dystansie 500 m indywidualnych sukcesów (wygrała Katarzyna Rybińska z Barlinka – 1.24,6 min.), ale utrzymały zdobytą wcześniej lokatę i zwyciężają w punktacji generalnej.

Wyprzedziły bytowianki tylko o 7 pkt. Za to zdecydowaną przewagę uzyskują chłopcy z kluczborskiej SP 3. Ta zasłużona dla czwórboju szkoła doczekała się swojego święta. Dla uzupełnienia relacji warto dodać, że najlepszym na odcinku 800 m okazał się Waldek Kunicki z Płońska – 2.18,7 min.

Pogoda pokrzyżowała plany wielu drużynom. Nie wszyscy potrafili sobie radzić w trudnych warunkach, jakie panowały w Turku. Ale jedno można powiedzieć: ambicji i woli walki nie brakowało nikomu. Wbrew kaprysom aury wyniki też nie były najgorsze. Czwórboiści uczcili więc jubileusz swojej imprezy należycie.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Fot. **autora**

W pchnięciu kulą (zamiast w rzucie piłeczką) tym razem startowało wiele drużyn ▶

Grząska bieżnia, deszcz oraz dotkliwe zimno nie sprzyjały uzyskiwaniu dobrych rezultatów na dystansie 60 m. A jednak... ▼

Prezentujemy zwycięzców

Reprezentacja dziewcząt szkoły nr 2 w Ostrołęce: Grażyna Kośnik, Aldona Zaremba, Anna Ciskowska, Dorota Ogniewska, Iwona Bieniek, Dorota Potkaj. Jest to ich pierwszy czwórbojowy sukces. Grażyna i Aldona są w kadrze kraju juniorek młodszych w konkurencji skoku wzwyż. Niedawno szkolna drużyna ustanowiła rekord województwa seniorek w sztafecie 4×400 m. Czwórbojem zajmują się od klasy IV.

Reprezentacja chłopców szkoły nr 3 w Kluczborku: Zbigniew Owczarek, Bogusław Mazepa, Janusz Strzelak, Arkadiusz Węgieł, Radosław Mróz, Sławomir Radwański. Szkoła z Kluczborka już od dawna znana jest ze swoich czwórbojowych osiągnięć. Niemal co roku awansuje do krajowego finału i zawsze plasuje się na wysokich pozycjach.

Zespołom z Ostrołęki i z Kluczborka składamy serdeczne gratulacje.

Nasz komentarz:

RADOŚCI I SMUTKI

Takich zawodów jeszcze nie oglądaliśmy! Nie w tym rzecz, że uczestniczyło w nich prawie 600 czwórboistek i czwórboistów (z okazji jubileuszu do finału krajowego dopuszczono reprezentacje wszystkich województw – bez rozgrywania finałów strefowych), ale równie fatalna pogoda nie towarzyszyła żadnej z poprzednich imprez. Ciągły deszcz i przenikliwy chłód dał się we znaki dosłownie wszystkim. Wiele hartu musieli więc wykazać zawodnicy, aby wytrwać do końca. Grząska bieżnia, śliskie rozbiegi, pełne wody zeskoki nie sprzyjały uzyskiwaniu znakomitych wyników. A jednak czwórboiści zdali egzamin na piątkę!

Minimalne różnice w ostatecznej klasyfikacji dowiodły, że mamy dużo dobrych zespołów, że coraz trudniej zwyciężyć w krajowej rywalizacji. Puchary „Świata Młodych" dostały się w godne ręce.

Miło jest o tym pisać po jubileuszowym, XXV Czwórboju Przyjaźni. Pochwały należą się również organizatorom imprezy, a zwłaszcza Oddziałowi Wojewódzkiemu Szkolnego Związku Sportowego w Koninie.

Zespół ludzi, na czele z panem Jerzym Sawickim, udowodnił, że dobre zawody można przeprowadzić w każdych warunkach.

Dziękujemy! Szkoda tylko, że zawiedli harcerze z Turku. Brakowało ich w trakcie rozgrywanych konkurencji, nie rozstawili nawet na czas tak potrzebnych w deszczowej pogodzie namiotów. Zazieleniło się od mundurów jedynie na... trybunie honorowej, podczas otwarcia i zamknięcia imprezy. A przecież czwórbój, tak przynajmniej głoszą biuletyny i sprawozdania GK ZHP, jest zawodami organizowanymi wspólnie z harcerzami...

Krytyczne uwagi zmuszeni jesteśmy skierować do niektórych opiekunów przybyłych do Turku zespołów. Demolowanie pod wpływem alkoholu pomieszczeń internackich nie świadczy o ich odpowiednich postawach moralnych, o nauczycielskich kwalifikacjach. Bardzo przykre są to sprawy, aż wstyd pisać o nich na łamach gazety.

Zgodnie z nowym regulaminem czwórboju po sześć najlepszych zespołów dziewcząt i chłopców zmierzy się ze sobą jeszcze raz. Stawką ponownych sześciomeczów będzie wyjazd na przyszłoroczny międzynarodowy finał. Przypominamy, że w br. barw naszych bronią dziewczęta z bytomskiej szkoły nr 13 i chłopcy ze Szczecina, szkoła nr 41. Życzymy im udanego startu na bukaresztеńskim stadionie. (**zp**)

OFICJALNE WYNIKI ZAWODÓW

Zespołowe

Dziewczęta: 1) SP 2 Ostrołęka – 1554 pkt.; 2) SP 13 Bytom – 1547; 3) SP 75 Gdańsk – 1497; 4) SP 12 Jelenia Góra – 1467; 5) SP 55 Warszawa – 1428; 6) ZSG Milówek – 1411; 7) SP Lubatowa – 1404; 8) SP 91 Nowa Huta – 1399, 9) ZSG Złocieniec – 1389, 10) SP 6 Puławy – 1382.

Chłopcy: 1) SP 3 Kluczbork – 1296 pkt.; 2) SP 7 Łomża – 1207; 3) SP 15 Bydgoszcz – 1198; 4) SP 75 Gdańsk – 1168; 5) SP 21 Bielsko-Biała – 1155; 6) SP 1 Międzychód – 1152; 7) SP Płońsk – 1146; 8) SP 5 Radom – 1144; 9) ZSG Kostrzyń – 1139; 10) ZSG Kokrzywnica – 1138.

Indywidualne

Dziewczęta: 1) Grażyna Kośnik (Ostrołęka) – 365 pkt.; 2) Ilona Cimosiewicz (Bytom) – 353; 3) Barbara Łuczek (Złocieniec) – 332.

Chłopcy: 1) Radosław Mróz (Kluczbork) – 321 pkt.; 2) Zbigniew Owczarek (Kluczbork) – 312; 3) Józef Tatesiuk (Kostrzyń) – 309.

KLAN

Uczymy się pływać (1)

ROZGRZEWKA

Rozgrzewkę na brzegu przeprowadza się w ciągu 10 min. Nie należy jednak stosować gwałtownych ruchów i zbyt intensywnych ćwiczeń, powodujących pocenie. Ćwiczenia powinny być swobodne, działające na rozluźnienie mięśni. Wśród ćwiczeń należy stosować również takie, które pomogą opanować technikę pływania.

Oto przykład rozgrzewki trwającej 10 min., podany w podręczniku Adama Kalinowskiego pt. „Kąpiele i nauczanie pływania na koloniach i obozach letnich".

Wilczym tropem. W rzędzie na zmianę 5 kroków marszu i tyle kroków biegu truchtem.

Piłowanie drzewa. W dwójkach podanie sobie rąk na krzyż i skręty tułowia na zmianę w lewo i prawo z jednoczesnym zwrotem głowy w kierunku skrętu.

Przewijanie się pod rękami. W dwójkach twarzami do siebie, chwyt za ręce i przewijanie się pod rękami w jedną i drugą stronę.

Huśtawka. W dwójkach trzymanie się za ręce – na zmianę głębokie przysiady i prostowanie się do wspięcia na palcach.

Szczur. Ćwiczący ustawiają się na obwodzie koła, w środku stoi jeden ze sznurem długości około 6 m, obciążonym na końcu piłką. Na dany znak środkowy obraca się dookoła swojej osi puszczając w ruch szczura-piłkę tak, aby wirowała tuż przy ziemi. Stojący na obwodzie podskakują w momencie, kiedy szczur zbliża się do ich nóg. Uderzony szczurem idzie do środka.

Róbcie to co ja. Ćwiczący podążają za instruktorem i naśladują jego ruchy. Prowadzący – na zmianę to idzie, to podbiega lub zatrzymuje się wykonując różne ruchy gimanstyczne, jak np. przysiady, wymachy ramion, skłony tułowia itp.

„Suche pływanie" żabką na wznak. W staniu – unoszenie ramion przodem w górę i opuszczanie ich bokiem w dół, jak przy zagarnianiu wody. W leżeniu na plecach w poprzek dwóch ławeczek lub innego podwyższenia – uginanie nóg w kolanach (bez unoszenia kolan), opuszczenie w dół goleni, skręt palców stóp na zewnętrz i wykonanie kolistego ruchu stopami, jak przy zagarnianiu nogami wody podczas pływania żabką na grzbiecie. Oba ćwiczenia wykonać 5–6 razy.

Napinanie i rozluźnianie mięśni. W leżeniu na plecach na zmianę napinanie i rozluźnianie mięśni całego ciała. To samo w staniu z wykonaniem w rozluźnieniu głębokiego przysiadu i wyprostowaniem się.

Ciąg żurawi. Marsz dwójkami. Po przejściu 5 kroków dwójka idąca na czele wraca na koniec kolumny. Ćwiczący z lewej strony kolumny wracają lewą stroną, a z prawej prawą.

Niezwłocznie po zakończeniu rozgrzewki rozpoczynamy naukę pływania, oczywiście, jeśli rozgrzewający się nie są spoceni.

SZEF KS „OLIMPIJCZYK"

JELENIA GÓRA '80

LATO Z WIERSZEM

Pokolenie

pokolenie przeżarte rdzą
zatrute dymem
pokolenie szklanego ekranu
żyjące ideą
marzeń o spokojnym życiu
zamknięte w błędnym kole prawd
w które wierzy bez zastrzeżeń
nasz świat
ma ściśle określone granice
nasz świat
jest oazą spokoju
nie chcemy niczego burzyć
ani nic budować
jesteśmy szczęśliwi
szczęściem małych ludzi
lecz dlaczego czasem
budzą się w nas
dzikie oszalałe ptaki

Katarzyna z kl.III (Grupa Literacka „Doprawdy" Poznań)

Współczesność

Znowu wyjdę na arenę
ja – gladiator, potępieniec losu.
Z gołymi rękoma
natrę
na uzbrojonego po zęby wroga.
Zadam cios
i otrzymam kilka.
Zwyciężę i popatrzę spokojnie
na wolę rozbawionego tłumu,
przegram i zadrżę
przed groteskowym wyrokiem.
Ja – gladiator,
który zbiera i rozdaje razy,
czekam na swą zgubę.
W ciasnej klatce
marzę o cieniu Spartakusa,
lecz działanie swe
zamykam w twardych walkach
na arenie.
Zginę wśród wesołej gawiedzi
obojętny dla tłumu.
Ja – gladiator z duszą Cezara.

Ryszard z Bolesławca

– Uczestnicy V turnieju Poetyckiego „NIEBIESKA TARKA"

REDAKCYJNA POCZTA

Jesteśmy zainteresowani zuchami

Chcielibyśmy korespondować z taką drużyną, z którą moglibyśmy wymieniać swoje doświadczenia w zakresie pracy z zuchami, bo przecież taka działalność jest przyjemna, ale równocześnie trudna i odpowiedzialna. Prosimy o wydrukowanie naszego adresu. Dobrze wiemy, że do „Poczty" napływa wiele różnych listów, ale przecież „Świat Młodych" jest gazetą harcerską, a „Redakcyjna Poczta" nie ma tytułu np. „Kocha, lubi, szanuje", czy „Serce w rozterce", lecz jest chyba także harcerską pocztą, która ma za zadanie (jak przypuszczamy) wspomagać w nawiązywaniu znajomości z innymi harcerzami, lub jak w naszym przypadku z drużynami zuchowymi. Czuj!

17 DZ „Złote Runo"
Szczep nr 2
przy Szkole Podstawowej nr 2
im. M. Konopnickiej;
ul. Szkolna 1; 32-500 Chorzów

Zbieram kalendarzyki kieszonkowe

Moim hobby jest zbieranie różnych starych kalendarzyków kieszonkowych. W kolekcji brakuje mi egzemplarza z 1940, 1942 i 1943 roku. W związku z tym mam ogromną prośbę do czytelników „Świata Młodych". Jeźli ktoś z Was lub Wasi rodzice miałby zbędny kalendarz na odpowiadające mi lata, to byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mógł mi przesłać. Dodam, że mogę odwdzięczyć się fotosami zespołów, piosenkarzy, pocztówkami zagranicznymi, zdjęciami samochodów itp. – zależy co komu będzie odpowiadało. Z góry dziękuję.

Dorota Niesłuchowska
ul. Buszycka 16a, 02-869 Warszawa

Chcę się pozbyć samotności

Jestem sama, na każdym kroku towarzyszy mi samotność. Z nikim nie mogę znaleźć wspólnego języka, z nikim nie mogę się dogadać. Skończyłam 15 lat, mieszkam i uczę się na wsi. Mam rozległe zainteresowania, pochłania mnie psychologia, filozofia, matematyka, lubię sport, muzykę rockową i poważną – moim ulubionym kompozytorem jest Beethoven. Nie mam tylko określonego hobby, próbowałam filatelistyki, ale doszłam do wniosku, że to nie to. I na tym pozostało. Za pośrednictwem „Redakcyjnej Poczty" chciałabym wreszcie pozbyć się samotności i dlatego proszę o listy od tych, którzy są w podobnej sytuacji, lub pragną mieć świadomość, że nie są sami.

Anka Wujcik
09-460 Mała Wieś, woj. Płock

Najlepsza metoda – obojętność

Poruszam sprawę, o której napisała „Ata". Mam trochę podobną sytuację jak ona. Koledzy wmawiają we mnie, że moimi sympatiami są dziewczyny, których w ogóle nie znam. Na każdej przerwie pokpiwają sobie ze mnie. Wymyśliłem na nich sposób. Gdy zaczynają się podśmiewać, udaję, że są dla mnie powietrzem. Postępuję tak samo, gdy koledzy widzą mnie z moją prawdziwą sympatią. Myślę, że „Ata" powinna spróbować tego sposobu, bo perswazje nic nie dadzą. Ja też próbowałem wytłumaczyć kolegom, żeby nie mieszali się w moje osobiste sprawy. Apeluję także do wszystkich, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji jak „Ata" czy ja: nie przejmujcie się uwagami koleżanek i kolegów. Wtedy dokuczanie na pewno szybko im się znudzi. Zapewniam was!

Rysiek

Czy mnich Brendan był odkrywcą Ameryki przed Kolumbem? (1)

Prawie trzy lata trwały przygotowania naszej wyprawy. Musieliśmy opracować jej plan, skompletować sprzęt, a ponadto odpierać ataki ekspertów z dziedziny żeglarstwa, którzy twierdzili, że taka podróż nie ma żadnych szans. Wreszcie 17 maja 1976 roku wyruszyliśmy z tego samego miejsca z południowo-zachodniej Irlandii, z którego Brendan wyruszył 1400 lat temu. Żegnani zarówno przez życzliwych, jak i niedowiarków zebranych na brzegu, podnieśliśmy kotwicę i tak zaczęła się nasza podróż na „Brendanie" do Nowego Świata, przez przybrzeżne wyspy Irlandii, Szkocję, Wyspy Owcze, a później Islandię.

ZAŁOGA

George Molony – lat 26 – żeglarz – mój wieloletni kompan żeglugi, **Arthur Magan** – lat 23 – z Dublina, zawsze tryskający humorem, był ulubieńcem wszystkich, **Trondour Patursson** – rybak. I ja, kapitan Timothy Severin. Wszyscy byliśmy doświadczonymi żeglarzami i zdawaliśmy sobie sprawę, że nie będzie to zabawa dla nowicjuszy i że każdy fałszywy krok może drogo nas kosztować. Człowiek za burtą był skazany na śmierć, gdyż nie można było zawrócić, aby go ratować...

PIERWSZY SZTORM

Gdy 23 maja, po krótkim postoju na wyspach Aran (na zachód od Zatoki Galway), wypłynęliśmy na morze, przeżyliśmy nasz pierwszy sztorm. Stwierdziliśmy wówczas, że żeglowanie „Brendanem" podobne jest do... latania balonem. Nie mieliśmy żadnych możliwości korygowania kursu – musieliśmy żeglować w kierunku narzuconym przez wiatr. Wiosłowanie w cztery osoby było niemożliwe. Sztorm zniósł nas 100 mil z kursu.

Ta pierwsza burza na morzu ujawniła, że nasze zapasy nie były należycie zabezpieczone przed atakami fal. Wiele „wodoodpornych" plastikowych toreb przeciekło i w rezultacie nasz prowiant nabrał mdlącego smaku wody morskiej.

17 lipca skierowaliśmy się na otwarty Ocean ku Wyspom Owczym. Im bardziej oddalaliśmy się od lądu, tym bardziej uprzytamnialiśmy sobie, że jesteśmy czwórką ludzi zamkniętych w „skórzanym więzieniu", unoszącym się po bezkresie oceanu...

Kapitan Timothy Severin (po lewej) i George Molony zaszywają kadłub 14-skrętową lnianą nicią. Na podstawie opisów wyprawy użyli oni na poszycie łodzi skóry wołowej garbowanej w roztworze kory dębu. Szkielet statku zbudowano z listew jesionowych o prostych słojach i powiązano rzemieniami garbowanymi w ałunie. Potem skóra i drewno zostały obficie posmarowane tłuszczem

DORSZE Z „RAJU PTAKÓW"

W czasie naszej żeglugi „Brendan" doświadczał wielu przeciwności losu: był unieruchamiany przez ciszę, chłostany falami przez porywcze wiatry, a w końcu porwany przez prądy otaczające Wyspy Owcze.

Gdy zbliżaliśmy się do jednej z tych wysp, tysiące ptaków morskich zerwało się ze skał. Były tam m. in. mery, wydrzyki, głuptaki białe, nurzyki. Widok ten przypomniał mi „Raj Ptaków", o którym mówił mit o Brendanie.

3 lipca po opuszczeniu Wysp Owczych popłynęliśmy w kierunku północno-zachodniej Islandii. W czasie tej żeglugi nasze menu zostało urozmaicone potrawami z dorsza. Trondour stosując jako przynętę kawałki kolorowej skóry, łowił tuziny tych ryb. Jedliśmy więc dorsza duszonego, gotowanego, smażonego, a nawet spaghetti z dorsza. Był on wspaniałym urozmaiceniem naszych monotonnych posiłków w postaci konserw mięsnych i fasoli, wodnistych zup i jarzyn, suszonych owoców, a tylko z rzadka tabliczki czekolady.

WIELORYBY

Pewnego ranka naszą rozmowę przerwało jakieś ogromne sapnięcie, jak gdyby opróżniała się butla z gazem, a jednocześnie usłyszeliśmy potężny plusk. Było to nasze pierwsze spotkanie z wielorybem.

Nasz gość ukazał się na powierzchni wody kilkakrotnie, a potem znikł. Wkrótce jednak zauważyliśmy około 15 takich wielorybów. Płynęły mniej więcej 6 stóp poniżej kadłuba „Brendana". Moją pierwszą reakcją było zdenerwowanie, gdyż wielokrotnie ostrzegano mnie w Londynie przed dziwnymi obyczajami tych ssaków. Podobno wieloryb płetwowy ociera się czasem grzbietem o małe łódki. – Ładna historia – pomyślałem – wieloryb, którego swędzi kark, na pewno z przyjemnością podrapie się o skórzany kadłub „Brendana".

Ale na szczęście stado przepłynęło w pobliżu nie czyniąc nam szkody. Te olbrzymie zwierzęta nigdy w czasie naszej żeglugi nie były dla nas zagrożeniem. Jednak nasza skórzana łódź, czy to z tego powodu, że miała kształt wieloryba, czy to, że pachniała tłuszczem budziła ich zainteresowanie. Otaczały nas, wypływały tuż przy burcie na powierzchnię, również płynęły spokojnie pod nami, tak, że woda wzburzona przez ich olbrzymie ogony, wirowała wokół naszego małego stateczku.

Pogoda nam sprzyjała, więc pędziliśmy naprzód równolegle do południowego wybrzeża Islandii. 17 lipca zostaliśmy entuzjastycznie przyjęci przez gościnnych Islandczyków w porcie Reykjavik. Niestety; w jednej rzeczy nie mogli nam pomóc: zmienić pogody na naszą korzyść. Zbliżał się jesienny sezon sztormów, południowo-zachodnie wiatry omiatały wyspę, a na wschodnim wybrzeżu Grenlandii gromadziły się lody polarne.

Niechętnie podjąłem tę samą decyzję, jaką Brendan musiał niewątpliwie podejmować kilkakrotnie: czekać na inną porę roku. Zostawiliśmy naszą łódkę w jednym z hangarów w Islandii i powróciliśmy do domów, by spotkać się ponownie w maju, za rok.

(dokończenie w następnym numerze)

Fragment średniowiecznego rękopisu „Podróż Świętego Brendana Opata", który wyprawił się wraz z 17 mnichami do Kraju Obietnicy Świętych w 600 r. n.e.
Na ilustracji łódź płynie na grzbiecie łagodnego wieloryba „Jasconiusa"

Na podstawie „National Geographic"
Oprac.
MAŁGORZATA M. WIŚNIEWSKA

Wynalazki, które pomogły wygrać II wojnę światową (3)

Tajemniczy PÓLSTEŃ

Polskie lotnictwo dość wcześnie zainteresowało się lotniczą odmianą automatycznego działka o kalibrze 20 mm opracowanego przez szwajcarską firmę Oerlikon – już wtedy znaną w świecie, a i dziś produkującą broń doskonałej jakości. W rezultacie już w 1934 roku jeden z prototypów myśliwskiego samolotu PZL P-24, polskiej konstrukcji, przeznaczonego na eksport, został uzbrojony w dwa działka tej firmy, podwieszone pod skrzydłami. **Dzięki temu polski P-24 był pierwszym w świecie samolotem myśliwskim o tak silnym uzbrojeniu.** Toteż w kilku odmianach pewne ilości tego samolotu zostały sprzedane do Bułgarii, Grecji, Rumunii i Turcji. Ponadto Rumunia i Turcja zakupiły licencję na jego produkcję w swoich wytwórniach lotniczych. W polskim lotnictwie samolot P-24 nie był używany, gdyż właśnie przygotowywano jeszcze nowocześniejsze typy samolotów myśliwskich, wśród nich dolnopłatowiec z chowanym w locie podwoziem, PZL P-50 „Jastrząb".

Zastosowania działek firmy Oerlikon nie przewidywano ze względu na bardzo wysoką cenę tej broni; takie dwa działka kosztowałyby prawie tyle, ile wynosiła cena płatowca (bez silnika)! Lecz to nie znaczy, że z zastosowania w lotnictwie działka o kalibrze 20 mm zrezygnowano zupełnie. Tym bardziej że bronią o takim kalibrze interesowały się również wojska lądowe, w tym i pancerniacy...

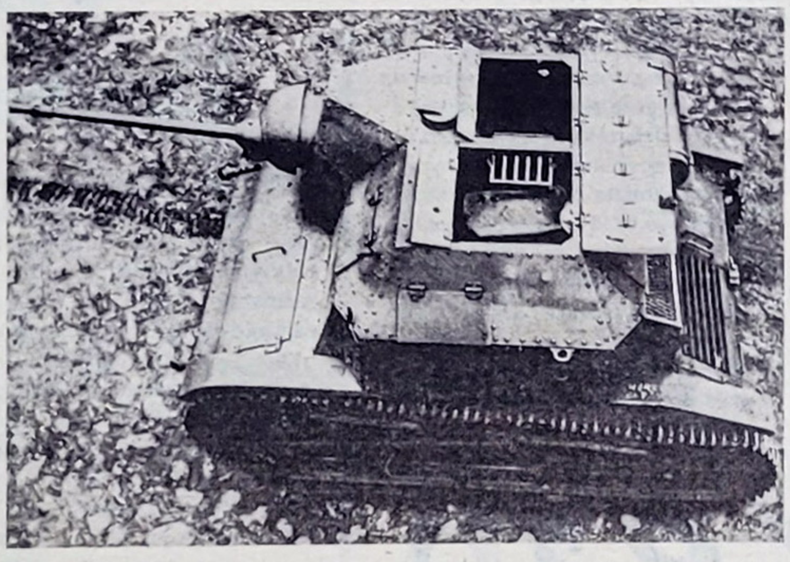

Działko kal. 20 mm wz. 38FK zamontowane na polskiej tankietce typu TKS

Lepsze od Oerlikona

W następstwie uzgodnionych wspólnie warunków polecono konstruktorom przystąpić do jej opracowania. Miała to być broń uniwersalna, tania i o konstrukcji omijającej zastrzeżenia patentowe firmy Oerlikon, aby nie ponosić dodatkowych kosztów. W rezultacie, po upływie dość krótkiego czasu, powstało kilka odmian tej broni: automatyczne o dużej szybkostrzelności działko przeznaczone dla lotnictwa oraz jego wersja służąca do obrony przeciwlotniczej, ustawiona na lekkim, łatwo rozkładanym podwoziu, przez co mogła być holowana nawet przez lekki samochód. Jego przeznaczeniem było zwalczanie nisko lecących samolotów, a przy użyciu specjalnych pocisków także celów naziemnych, w tym i pojazdów pancernych. W wersję lotniczą działka został potem uzbrojony prototyp dwusilnikowego samolotu myśliwsko-bombowego PZL P-38 „Wilk" (w przodzie kadłuba jedno działko i dwa karabiny maszynowe).

Oprócz tego dla nowych polskich czołgów rozpoznawczych, których prototypy były już w próbach – opracowano odmianę o mniejszej szybkostrzelności, mogącej oddawać nawet pojedyncze strzały. Odmianę tę poddano próbom porównawczym z działkami pochodzącymi z wytwórni zagranicznych, jak z duńskiej Madsen, niemieckiej Rheinmetall i oczywiście – uznawanej za najlepszą – szwajcarskiej Oerlikon. **W czasie tych prób okazało się, że działko polskiej konstrukcji znacznie przewyższa działko Oerlikona!** Polskie, swoimi pociskami przebijało te same płyty pancerne z odległości o 300 m większej, niż szwajcarskie. Jego konstrukcja była prostsza, łatwiejsza w produkcji i tańsza. Tak więc Polacy okazali się lepsi od konstruktorów z wytwórni mających w tej dziedzinie renomę od dawna ustaloną w świecie.

Głównym konstruktorem polskiego działka i autorem patentu (tajnego!) na oryginalne rozwiązanie konstrukcyjne był inż. Bolesław Jurek, który już wcześniej sprawdził się opracowaniem specjalnych karabinów maszynowych dla lotnictwa. Amunicja dla tego działka, mająca swój udział w tak dużej skuteczności w przebijaniu pancerza – także lepsza od szwajcarskiej – była również opracowana przez Polaków, specjalistów z Fabryki Amunicji. Wobec tak nadspodziewanie doskonałych wyników, nie czekając na uruchomienie produkcji nowych polskich czołgów rozpoznawczych, podjęto decyzję przezbrojenia w to działko – oznaczone **nkm wz. 38** (najcięższy karabin maszynowy wzoru 1938 roku) – przynajmniej części tankietek typu TK i TKS, dotąd uzbrojonych w ckm-y. Jak ta decyzja była szczęśliwa, okazać się miało już wkrótce...

W czasie działań wojennych we wrześniu 1939 r. tankietki przezbrojone w polskie działka stały się postrachem dla większości wozów bojowych napastnika. Małe i niskie, mogły się skryć nawet za niewielką kępą krzaków, a więc tam, gdzie wróg tego się najmniej spodziewał, aby swą skuteczną bronią razić zaskoczonego przeciwnika. Niestety i tej broni wtedy było za mało...

Po klęsce wrześniowej...

...razem z tymi polskimi żołnierzami, którzy nie zrezygnowali z dalszej walki z wrogiem, dla Francji przedzierali się również polscy naukowcy, inżynierowie i technicy, a wśród nich i specjaliści od uzbrojenia. Po upadku Francji dostali się do Anglii, gdzie wkrótce zostali zatrudnieni w polskiej sekcji konstrukcyjnej. Wędrując tak przez wiele krajów polscy konstruktorzy wieźli ze sobą do Anglii część planów konstrukcyjnych polskiego działka **wz. 38**. Obawiając się, że przewiezienie kompletu planów będzie zbyt trudne, większość rysunków spalono jeszcze w Polsce.

Konstruktorzy znając zaletę polskiego działka, ocalone jego plany przedłożyli głównemu specjaliście od uzbrojenia wojsk brytyjskich. Trafili na dobry moment. Brytyjskie wojska lądowe właśnie zgłosiły zapotrzebowanie na działko o kalibrze 20 mm. Polskiej propozycji nie zlekceważono, gdyż Anglicy wiedzieli, że pierwsze dostarczone dla brytyjskich wojsk lądowych partie automatycznych działek przeciwlotniczych kalibru 40 mm, systemu szwedzkiej firmy Bofors, uchodzących wtedy za najlepsze w świecie, były wyprodukowane w...Polsce, w wytwórni armat w Starachowicach. Tak więc polskiemu zespołowi zlecono uzupełnienie brakujących rysunków, które następnie zostały przesłane do Wytwórni Broni British Sten Co. w Enfield, gdzie zamówiono dwa próbne egzemplarze tego działka. W próbach nie można było potwierdzić wszystkich jego zalet, gdyż... przeprowadzono je na amunicji brytyjskiej! Polskiej odtworzyć nie było można, ponieważ jej twórcy pozostali w kraju. Mimo to, i tak okazało się, że innymi równie ważnymi zaletami przewyższa swego konkurenta – działko Oerlikona.

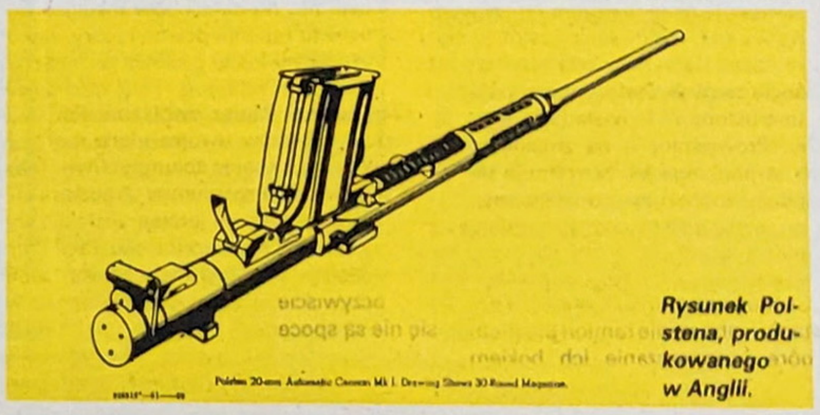

Rysunek Polstena, produkowanego w Anglii.

Ciężar Oerlikona wynosił 69 kg, polskiego tylko 55 kg – czyli o 20 proc. mniej. Oerlikon składał się ze 195 części; polskie działko – tylko ze 108, (prawie o 50 proc. mniejsza ich ilość!). Oerlikon wymagał od 1000–1200 operacji technologicznych, zaś polskie działko od 550–600. Znacznym uproszczeniem w produkcji było zastosowanie spawanej obudowy. Zastosowanie spawania było następstwem wysokiego poziomu spawalnictwa w Polsce; przecież Polak – prof. S. Bryła – był uznanym w świecie pionierem spawanych konstrukcji metalowych. Była to więc broń, jakiej wojska brytyjskie potrzebowały, i to w ilości dochodzącej do 40 000 sztuk – przynajmniej na razie! Polskie działko zostało zatwierdzone do produkcji seryjnej, otrzymało oficjalną nazwę **Polsten 20 mm Automatic Cannon Mark I.** Potrójnie sprzężony – jako tzw. triple – bywał umieszczany na platformach samochodów ciężarowych, służył do obrony przeciwlotniczej transportowych kolumn i miejsc postoju jednostek. Część standardowych czołgów, w których tylko zmieniono wieżę na uzbrojoną w dwa sprzężone Polsteny, przeznaczano do osłony przeciwlotniczej jednostek pancernych. Czołgi te swoimi działkami mogły także zwalczać cele naziemne. Z powodu dużej skuteczności działek, czołgi w nie uzbrojone nazywano „skorpionami".

A co znaczyła nazwa **POLSTEN**? Było to połączenie dwóch angielskich skrótów: **POLish STEN** – Polski Sten. Bo tak właśnie uhonorowano pochodzenie tej broni: miejsce jej powstania (Polska) i miejsce jej wytwarzania (British Sten Co.).

LESZEK KOMUDA
Fot. **ze zbiorów autora**

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

BENELLI 900 SEI

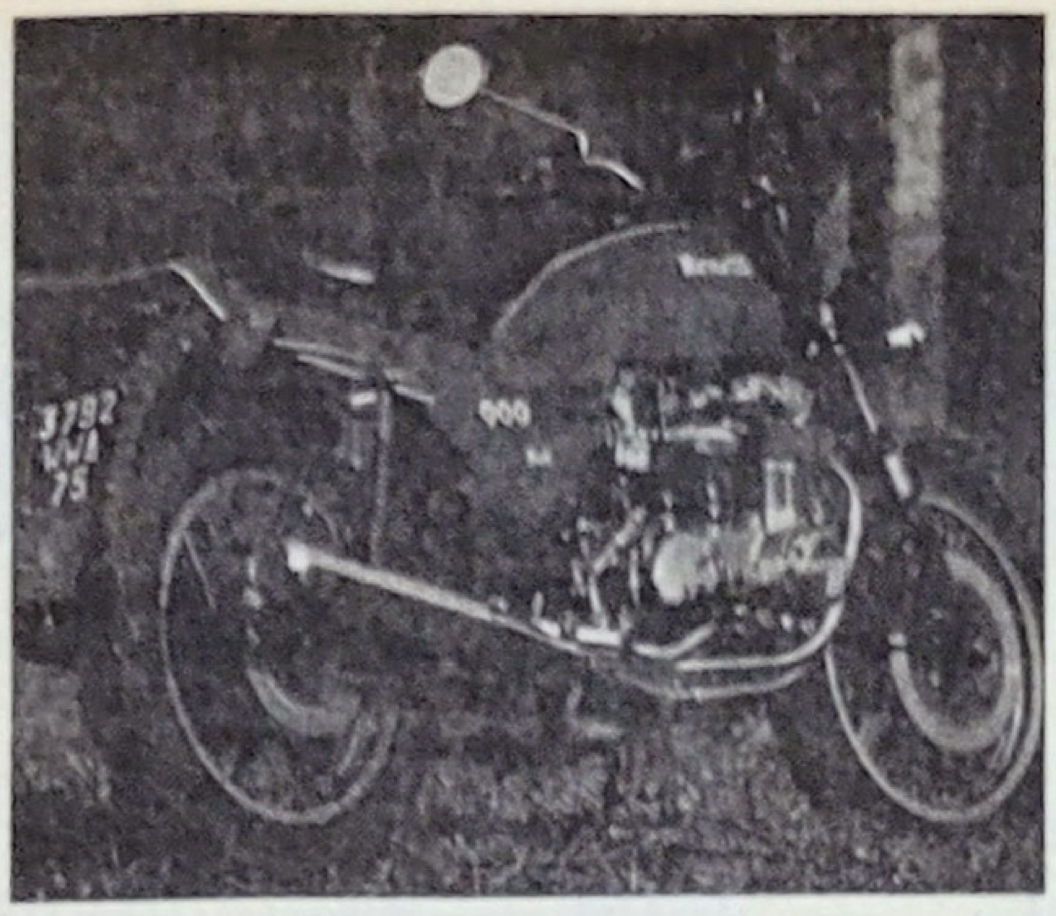

Motocykl ten jest przedstawicielem jednej z największych klas pojemnościowych.

W jego ramie wykonanej ze stalowych rurek umieszczony jest sześciocylindrowy, czterosuwowy silnik o pojemności roboczej 905,9 cm sześc. osiągający moc 57 kW (77,4 KM) przy stopniu sprężania 9,5 i 8300 obr/min. Zasilanie w mieszankę paliwową odbywa się przy pomocy trzech gaźników.

Pomimo tak dużej ilości cylindrów, umieszczonych w rzędzie obok siebie i poprzecznie w stosunku do osi motocykla, silnik ten posiada powietrzny system chłodzenia. Zapłon silnika jest tyrystorowy-bezstykowy firmy Bosch, instalacja elektryczna posiada napięcie 12 volt. Do ładowania akumulatora przeznaczony jest alternator o mocy 170 W. Rozruch silnika następuje za pomocą elektrycznego rozrusznika włączanego automatycznie po przekręceniu kluczyka w stacyjce. Napęd od silnika na tylne koło przenoszony jest przy pomocy łańcuchów, za pośrednictwem 5-przekładniowej skrzyni biegów.

Przednie koło osadzone jest na widelcu teleskopowym, tylne na wahaczu resorowym sprężynami z amortyzatorami. Przy przednim kole znajduje się podwójny hamulec tarczowy, przy tylnym hamulec tarczowy pojedyńczy. Obręcze obydwu kół odlewane są ze stopów metali lekkich.

Motocykl ten wyposażony jest w swego rodzaju nadwozie wykonane z tworzywa sztucznego. W jego skład wchodzi osłona reflektora, zbiornik paliwa (również z tworzywa sztucznego), rama siodełka i tylny błotnik.

Zespół przyrządów składa się z szybkościomierza i obrotomierza oraz pulpitu, na którym znajduje się zespół światełek kontrolnych: kierunkowskazów, olejenia, ładowania akumulatora, świateł krótkich i długich, oraz położenia w strefie neutralnej dźwigni zmiany biegów.

Pojemność zbiornika paliwa wynosi 16,5 litra. Ciężar motocykla 220 kg.

BENELLI 900 SEI osiąga prędkość maksymalną 210 k/godz, zużywa paliwa od 6,6 do 8 litrów na 100 km.

Producent i jego adres: **Benelli S.p.A. Via Mameli 22, 61 100 Pasaro, Włochy.**

ZENON DUTKIEWICZ

Tu Klub „Błękitnej Fali"

BUDUJEMY „PODWODNE OKO"

ŻYWA WODA! – tym klubowym hasłem wita Was dziś Prezes RYBA, Szef Klubu „BŁĘKITNEJ FALI". Abyśmy mogli zaobserwować dokładniej, co się w tej wodzie dzieje, zorganizujemy już wkrótce klubową wyprawę „ZE SZKIEŁKIEM I SERCEM". Ale przedtem – czyli dziś, najdalej jutro – zbudujemy sobie „podwodne oko". Wystarczy jeden lub dwa dla całego zastępu, obserwacji będziecie dokonywali po kolei.

Spójrzcie na rysunek – to nasze „oko" w przekroju podłużnym: rura z tektury lub z plastiku (może być nawet tekturowe pudełko). Po wycięciu odpowiedniego kształtu szkiełka wlepiamy je kitem w dno rury lub pudełka, opierając na wklejonym uprzednio do wnętrza pierścieniu z tektury. Jeśli wnętrze ma jasny kolor, dobrze jest przedtem pomalować je czarną matową farbą. Z zewnątrz (oprócz szybki, oczywiście) też malujemy pudełko wodoodpornym lakierem; ta czynność odpada, gdy obudowa jest z plastiku.

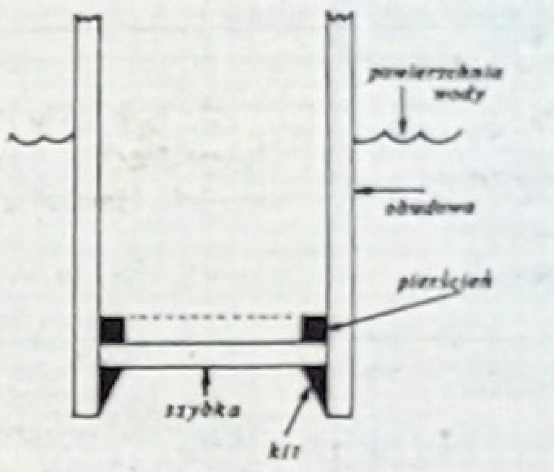

Takie urządzenie umożliwia obserwację tego wszystkiego, co dzieje się w przejrzystej czystej wodzie. Wystarczy je zanurzyć szybką w kierunku dna, przyłożyć oko do górnego otworu (jak najbliżej) i... uważnie patrzeć. Szybka umożliwia obserwację również wtedy, gdy powierzchnia wody jest nieco sfalowana.

Na razie konstrukcję radzę wypróbować w wannie lub w przydomowej beczce do zbierania deszczówki. O tym, jak i co obserwować pod powierzchnią wody – przeczytacie w projekcie klubowej wyprawy za tydzień.

Przypominam: czekam na listy w sprawach związanych z Waszą wakacyjną działalnością wokół wodnego środowiska przyrodniczego i o tym, jak się udał rekonesans. Do przyszłego czwartku!

Prezes RYBA
Szef Klubu „BŁĘKITNEJ FALI"

Ryby mają głos

Uwaga, kanibal czyha!

Choć jego łacińska nazwa brzmi raczej elegancko – Esox, jest najbardziej chyba żarłoczną rybą drapieżną naszych wód. Szczupak – to kanibal pożerający m.in. osobniki należące do tego samego gatunku, nawet własne potomstwo. Jest w stanie połykać ryby osiągające prawie wielkość jego ciała. Czyha w ukryciu, nieruchomy jak kawałek drewna, by nagle rzucić się na przepływającą w pobliżu zdobycz. Ale nie ściga jej, gdy mu ujdzie, a w każdym razie niezbyt daleko. Nie interesuje go pożywienie, które się nie rusza. Zbadano, że na 1 kg przyrostu wagi ciała szczupak zjada 4–6 kg ryb, w większości pośledniejszych gatunków.

Szczupak jest rozpowszechniony w Polsce wszędzie – w rzekach, jeziorach, nawet w stawach oraz w przybrzeżnych słonawych wodach Bałtyku. Ma doskonałe mięso, jest bardzo ceniony jako ryba handlowa i zarybia się nim zbiorniki hodowlane.

Wiosną, w czasie tarła, szczupaki wypływają często na zalane wodą nadbrzeżne łąki, gdzie na płyciznach składają ikrę. Są wtedy – jak się to potocznie określa – „ogłupiałe" i często padają ofiarą miejscowych kłusowników. W końcu pierwszego roku życia szczupak osiąga wagę ok. 100 gramów, w drugim – ok. 500 g, a w trzecim – 1 kg. Szczupaki o ciężarze 6 do 8 kg mają przeważnie 8–10 lat.

Kształt ciała szczupaka związany jest z jego sposobem życia i zdobywania pożywienia. Na przodzie długiego walcowatego korpusu – duża paszcza w kształcie kaczego dziobu lub pyska krokodyla. Płetwy są cofnięte daleko ku ogonowi tak, że wąskie ciało ryby jest jakby strzałą z piórkiem na końcu. Ryba zmienia od czasu do czasu swe ostre zęby, skierowane do wewnątrz pyska.

Duży szczupak – to samotnik, ale prowadzi raczej osiadły tryb życia, przywiązując się do stałego miejsca. Jest niezmiernie ostrożny i trudny do zauważenia.

SZCZUPAK (*Esox lucius* L.). Nazwy regionalne: scubel, szczubeł, szczubiel. Długość średnia do ok. 1,40 m, ciężar do ok. 25 kg. Tarło od lutego do kwietnia; samica składa do kilkuset tysięcy ziarn ikry.

KLUB PTAKOLUBÓW

Skrzydlaci ostatni Mohikanie (10)

Cietrzew

Cietrzew, *Lyrurus tetrix*, samiec. Długość ciała samca: 60–65 cm, rozpiętość skrzydeł 90–100 cm, waga 1250 g. Długość ciała samicy: 45–48 cm, rozpiętość skrzydeł 70–75 cm, waga 750–1000 g. Składa 6–10, a czasem więcej jaj. Ptak łowny.

Rys. Wł. Siwek

Są takie grupy zwierząt, które przyzwyczailiśmy się widywać tylko na podwórkach, w klatkach czy w kurnikach i które są w naszej wyobraźni tak dalece związane z podwórkiem, że wiadomość o ich występowaniu w stanie dzikim skłonni jesteśmy odbierać nieledwie jako sensację. Np. z listów niektórych naszych czytelników wynika, że spore wrażenie uczyniło na nich odkrycie, iż żyją u nas gatunki całkiem dzikich gołębi. Odkrycie to dla niektórych stało się zaczątkiem pasji obserwowania właśnie dzikich zwierząt. Myślę, że podobnie może być w przypadku kuraków; wprawdzie te gatunki, które są hodowane jako drób nie występują na wolności, ale za to mamy w naszej przyrodzie kilka innych z tej rodziny, wśród nich – parę co się zowie dzikich, a zarazem mocno zagrożonych przez cywilizację.

Jednym z nich jest cietrzew, okazały kurak leśny, jeszcze zresztą nie tak rzadki w naszym kraju, ale że występuje tylko na pewnych, ograniczonych terenach, nie jest szerokiemu ogółowi znany; najlepiej znają go myśliwi.

Cietrzew jest rozmiarów mniej więcej kury domowej, ale proporcjami różni się znacznie. Zwłaszcza – samiec, który ma budowę krępą i jest jakby pękaty. Z daleka, gdy przesiaduje w trawie, wygląda niepozornie – rzekłbyś, to kawałek osmalonego pniaka. Z bliska jednak, zwłaszcza w okresie godowym, jego czarne pióra pysznią się wspaniałym, niebieskim połyskiem, a ponad oczami ma tzw. róże – czerwone fałdy skórne, zawierające specjalny barwnik tłuszczowy (tzw. tetroerytrynę) występujący tylko u kuraków i gołębi. Wreszcie – na urodę samca składa się lirowaty ogon (stąd rodzajowa nazwa – *Lyrúrus*). Samica jest z wyglądu dużo skromniejsza, szarobrązowa, bez liry i bez „róż".

O cietrzewiu mówi się, że jest kurakiem leśnym, daremnie jednak szukać go w lasach bujnych, zwartych i nowocześnie wypielęgnowanych. Jego królestwem są drzewostany rzadkie, lukowate, poprzedzielane polanami i zrębami, gdzie rosną jagody, jałowce i ciągną się podmokłe brzeźniaki. W ogóle brzoza jest drzewem jego życia (na co wskazuje rosyjska nazwa ptaka *bieriezowik*), żywi się nie tylko jej pączkami, ale i obdziera korę. Poza tym jada jagody (latem) i zboża (jesienią), a młodzież cietrzewia wyłapuje owady.

Cietrzewie są wspaniałym ożywieniem monotonnych, bagiennych lasków, złożonych z rachitycznych brzóz. Zwłaszcza zimą, gdy gromadnie obsiadają ich korony. Widok, jaki przedstawia taka gromada, przywodzi na myśl obrazki z dalekiej północy, surowej, a przecież bogatej w zwierzynę. Zresztą mróz i śnieg cietrzewiom nie straszny – zimę znoszą doskonale, prawie nie potrzebując dokarmiania, a gdy przyjdzie zadymka – zeskakują z drzew w zaspy i w nich się całkiem zakopują, siedząc tam całymi godzinami, bez ruchu. W ten sposób oszczędzają energię i mogą się dłuższy czas obywać bez jedzenia.

Największych emocji dostarczają cietrzewie obserwatorom i myśliwym na wiosnę. Wtedy samce zajmują małe polanki otoczone krzewami czy też suche pagórki wśród bagien i zaczynają tokować. Wtedy to (od marca do końca maja) niesie się co rano jedyny w swoim rodzaju dźwięk – zupełnie, jakby bulgotał strumyk albo... kartofle w garnku. Główna zwrotka cietrzewiej pieśni godowej brzmi jak **„gug-ku, guggugugug-ku, gugugugug-ku"** (na ogół wyraźne trzy części!). Co jakiś czas jest przerywana przez dźwięk przypominający świst powietrza uchodzącego z ciągle przebitej dętki: to tzw. czuszykanie, brzmiące jak **„cziuch-szyyy"**. Podczas tego koncertu kogut stroszy się i rozpościera ogon, ukazując śnieżnobiałe pióra podogonia. Stają się one wtedy – podobnie jak to jest u tokującego dropia – sygnałem optycznym. W tym momencie ptak wygląda tym efektowniej, że jego róże bardzo nabrzmiewają.

Na tokowisku zbiera się czasem kilka samców, ale często tokuje tylko jeden. Wydaje się, że w przeciwieństwie np. do batalionów tokujące cietrzewie zajmują pewne rewiry, zatem ich pieśni i całe godowe zachowanie spełniają podobną rolę, jak śpiew samców ptaków wróblowatych. Jednak koguty nie tworzą z kurami par i nie sprawują żadnej opieki nad gniazdami ani potomstwem. Z godami cietrzewi wiąże się jeszcze wiele nie wyjaśnionych do końca zagadek – nie wiadomo np. jaki jest sens walk kogutów. Stwierdzono natomiast, że są osobniki specjalizujące się niejako w zaczepianiu innych. *„Intruzami takimi* – pisze Piotr Sumiński w swej monografii cietrzewia, z której tu w wielu miejscach korzystam – *bywają stare koguty, już niezdolne do rozmnoży, które oblatują cudze tokowiska tylko po to, by wyzywać do boju rywali. Wtedy to przychodzi na tokowiskach do walk zwykle niekrwawych. Koguty biją się dziobami, skrzydłami i nogami, skaczą na siebie jak nasze koguty domowe, wodząc się za łby, po czym słabszy zostawiwszy parę piórek, salwuje się ucieczką..."*

Takiego cietrzewia obserwuje się z szałasu, do którego trzeba wejść koniecznie przed świtem, by nocujący w pobliżu tokowiska ptak nie zobaczył człowieka. W taki sposób zasadzają się na cietrzewia myśliwi, jest to jeden z najcenniejszych ptaków łownych, dlatego nowocześni myśliwi dążą do jego ochrony i odmawiania populacji tam, gdzie ptaki te wyginęły, a tak się już stało w wielu miejscach.

Cietrzewie żyją bowiem na terenach, które w naszym pojęciu po prostu są nędzne: ani to prawdziwe lasy, ani dobre łąki. Przekształcamy je więc szybko, wprowadzając tam kultury rolnicze i leśne, wypierając cietrzewia. Drugim niebezpieczeństwem jest podatność tego gatunku na choroby, roznoszone zresztą przez drób, co czyni sąsiedztwo osad ludzkich jeszcze bardziej niebezpiecznymi dla cietrzewia. Natomiast – według Sumińskiego – ptak ten dobrze znosi bliskość hałaśliwego przemysłu, komunikacji itp. Większym dlań zagrożeniem są inne ptaki wprowadzane do łowisk, np. bażanty, które, jak zaobserwowano, wypierają cietrzewie. Młodym cietrzewiom zagraża również wiele niebezpieczeństw – łącznie z dużymi mrówkami.

Stan cietrzewi w Polsce nie jest mimo to jeszcze tak tragiczny, jak wielu innych, dotąd opisanych gatunków – w latach sześćdziesiątych naliczono ich 11 tys. sztuk. Dziś występują prawie wyłącznie na wschód od Wisły, bo tylko tam znajdują odpowiednie tereny. By przywrócić je ziemiom zachodnim – rozpoczęto prace hodowlane w ośrodku poznańskiej AR w Siemianicach, pod kierunkiem prof. Ryszarda Graczyka. Jak dotąd, restytucja ginących ptaków dotyczy tylko gatunków łownych. No, ale ich obecność w krajobrazie cieszy przecież nie tylko ludzi noszących na ramieniu dwururkę...

TOMASZ KŁOSOWSKI

STOŁECZNE PRZEDSIĘBIORSTWO ENERGETYKI CIEPLNEJ

Warszawa, ul. Batorego 2

informuje

o przyjęciach do Zasadniczych Szkół Zawodowych, których uczniowie będą odbywać praktyczną naukę zawodu w SPEC. Zapisy absolwentów szkoły podstawowej przyjmują:

- 2-letnia ZSZ w Warszawie przy ul. Odrowąża 75,
  telefon 11-03-13,
  kierunek – monter wewnętrznych instalacji budowlanych
- 2-letnia ZSZ w Warszawie przy ul. Stalingradzkiej 33,
  telefon 11-25-15
  kierunki – monter zewnętrznych instalacji budowlanych, monter, ślusarz
- 3-letnia ZSZ w Warszawie przy ul. Odrowąża 75,
  telefon 11-03-13,
  kierunek – elektromechanik
- 3-letnia ZSZ w Piasecznie (Zalesie Dolne) Al. Brzóz 27
  telefon 56-73-05,
  kierunek – mechanik kierowca

Wzorowi uczniowie wszystkich specjalności otrzymują prawo jazdy kat B.

Praktyczna nauka zawodu prowadzona jest w Ośrodku Szkolenia Zawodowego SPEC, Warszawa, ul. Białobrzeska 6.

Przedsiębiorstwo zapewnia dobre warunki nauki, a po jej ukończeniu pracę w wyuczonym zawodzie na terenie wszystkich dzielnic Warszawy.

Dokumenty należy składać w sekretariatach szkół, codziennie w godz. 9–15.

K–125

Elektrownia na... wulkanie

USA (PAP). Na Wyspach Hawajskich prowadzone są przygotowania do rozpoczęcia budowy geotermicznej elektrowni, która będzie korzystać z gorącej wody pochodzącej z głębi działającego wulkanu Kilanea. W podziemnych zbiornikach temperatura wody dochodzi do 300 stopni Celsjusza. Wypływająca na powierzchnię woda przekształca się w gorącą parę. Obecnie prowadzone są próby niedużej turbiny z generatorem, w celu ustalenia wielkości potencjału energetycznego wulkanu. Budowa stałej dużej elektrowni rozpocznie się dopiero po roku. Obiekt zostanie odpowiednio zabezpieczony przed trzęsieniem ziemi, nawet o sile do 9 stopni w skali Richtera. **(kż)**

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Ogłaszam, że nieustający konkurs na najładniejszy mój portret w Waszym wykonaniu – trwa nadal i wcale nie ustał ostatnio, jak pisze mi Jola Sobieraj. Zamieniły się nieco warunki:

Z przyczyn „poligraficzno-oszczędnościowych" nie mogę w moim kąciku drukować zbyt dużo kolorowych rysunków. Bardzo Was proszę, rysujcie mnie tylko czarnym tuszem lub flamastrem (nie ołówkiem!). Myślę, że moje portrety nic na tym nie stracą, bo przecież jestem czarny z natury!

★

Romek Paliwoda proponuje krótki relaks matematyczny:

a) Wymyśl sobie jaką chcesz liczbę.
b) Dodaj 50.
c) Podziel przez 2.
d) Odejmij liczbę, którą wymyśliłeś na początku.
Wyszło ci 25, prawda?

★

To był stary kawał. Z brodą. Oto kilka angedotek, też starych, ale może nie znacie ich. Nadesłał mi je Bartek Denkowski:

– W RESTAURACJI:
– A może szanowny pan skonsumuje wyborny ozorek?
– O, nie! Nie wezmę do ust tego, co już ktoś miał w ustach!
Niech mi pan poda jajko na miękko...

•

NA STATKU:
– Nurek?! Tu kapitan! Natychmiast na pokład!
– A co się stało?
– Statek tonie!

•

NA LEKCJI O ARCHIMEDESIE:
– Powiedz mi, Kowalski co znaczy słowo „eureka"!
– „Znalazłem", panie profesorze.
– No, a cóż to takiego znalazł Archimedes, będąc w wannie?
– Pewnie mydło...

•

TEŻ NA LECKJI:
– Oddaj mi te karty, Kowalski i jutro przyjdź z ojcem! Wiesz chyba za co będziesz ukarany?!
– Wiem, panie profesorze. Nie powinienem wychodzić w króla...

•

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

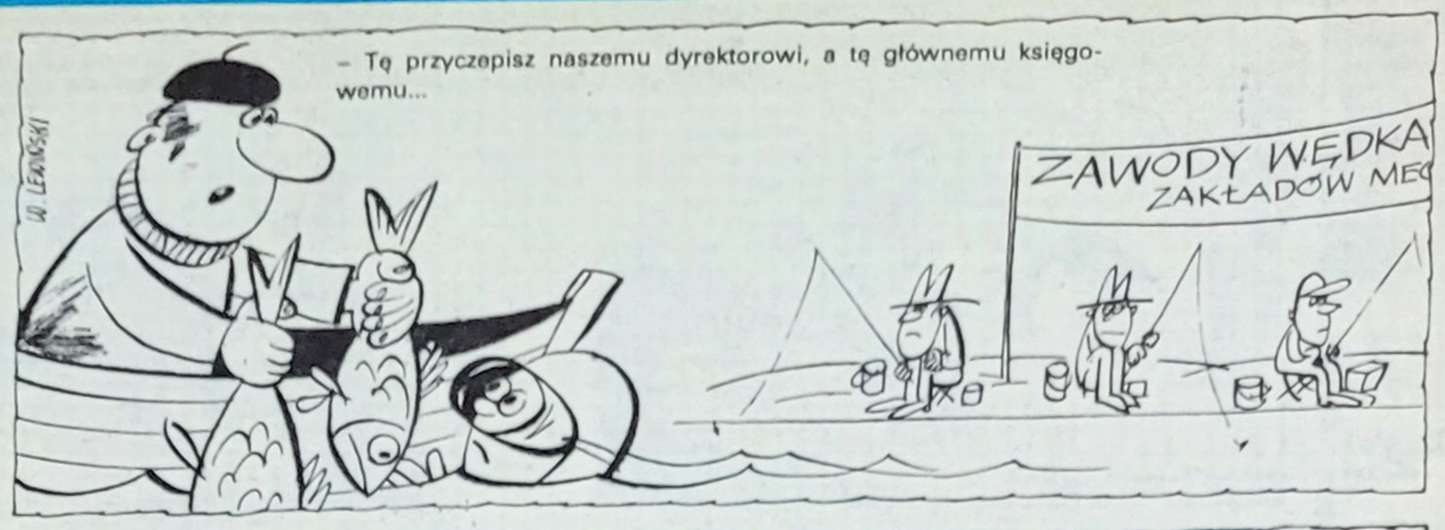

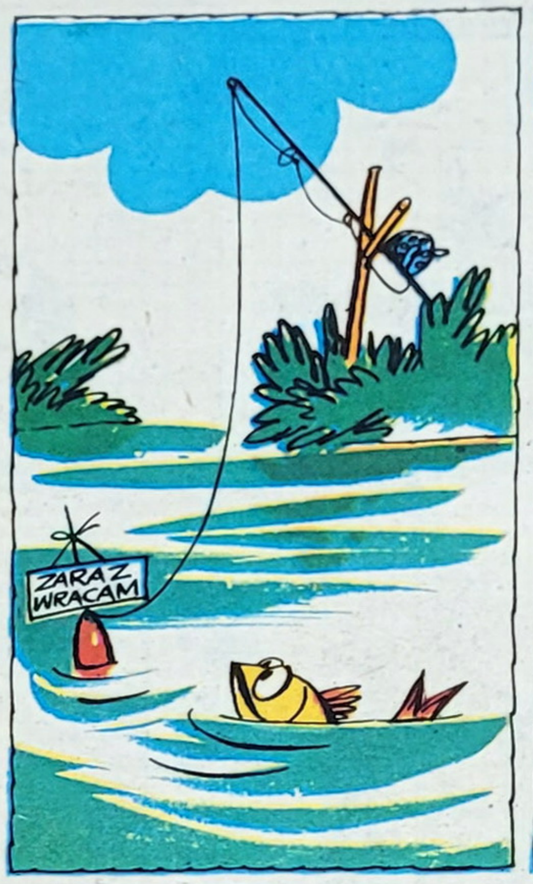

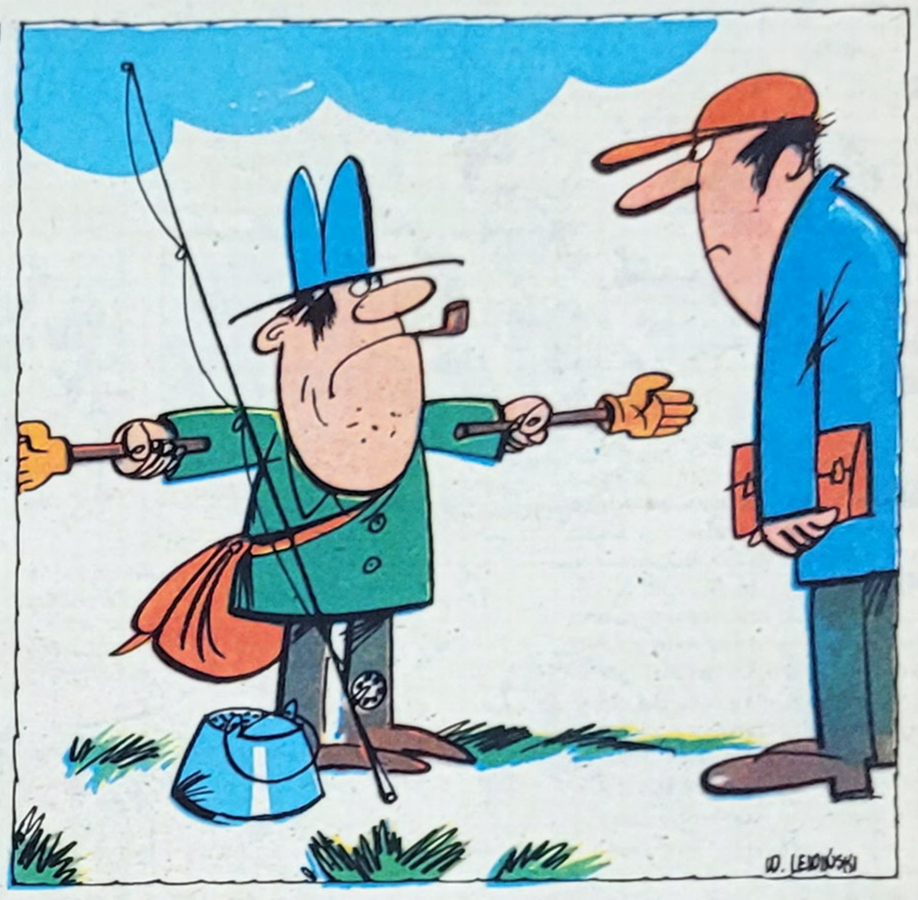

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe nadesłali: Beata Frankiewicz, Henryk Caban i Piotr Malczyk. Wszystkie wpisuję na klubową listę.

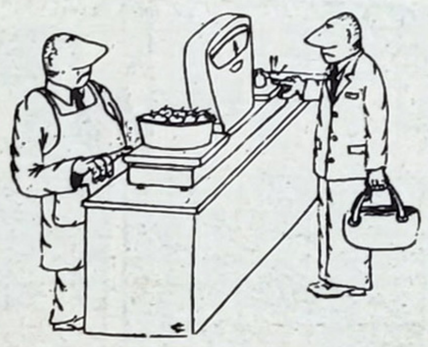

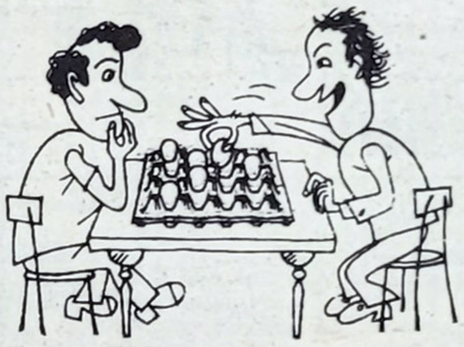

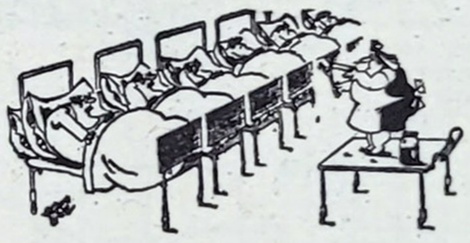

Pod koniec trzeciego tygodnia od czasu rozkazu generała Howarda uporaliśmy się z grubsza z opuszczeniem Wallowy. Był początek czerwca. Prawie cała nasza grupa była już po tamtej stronie rzeki, a z tej strony pozostało tylko kilkadziesiąt sztuk bydła i my, kilkunastu pasterzy. Z nami Wódz Józef.

Bezczelność złodziejskich sąsiadów nie miała granic. Oto za białego dnia, nie dalej jak o dwieście pięćdziesiąt kroków od nas, ujrzeliśmy na skraju zarośli na koniach dwóch osadników, z których jeden ciągnął naszą krowę, złapaną za rogi na lasso, a drugi ją poganiał z tyłu drągiem.

Kilku z nas natychmiast chciało się rzucić na zuchwalców, ale Wódz Józef ich powstrzymał.

– Dajcie pokój! – zawołał. – Ja to załatwię!

Trzymał w ręku swoją strzelbę, model Sharpa, broń dużokalibrową, bijącą celnie nawet na odległość trzystu, czterystu kroków. Szybko zeskoczył z konia, plecami oparł się o drzewo, zmierzył się, wypalił. Trafiona krowa padła. Przerażeni złodzieje puścili łup i zniknęli w zaroślach.

Ale nie mniej zdziwiliśmy się także i my.

– Wódz Józef! – szepnął na uboczu Czarny Jastrząb z ukrytą drwiną w głosie.

Słowa jego usłyszał wódz i łagodnie się uśmiechając do Czarnego Jastrzębia, stwierdził pytająco?

– Chybił?

Młody wojownik zmieszał się i nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To co? – zerknął wódz na nas, nabijając strzelbę. – Czy miałem celować do czegoś innego?

– Tak! Do złodziei, do wrogów! – mruknął zadziornie Skory Łabędź.

– I chciałbyś wojny na całego, przyjacielu!? – zwrócił się do niego wódz.

– Już jest wojna!

– Ale nie otwarta! – odparł Wódz Józef. – I nie my ją rozpoczniemy! Nie damy powodu!

Ale stało się inaczej: daliśmy powód.

Bezczelność białych sąsiadów, ich jawna już napastliwość, więcej, żywa pamięć kilkunastu zabójstw, popełnionych przez osadników w ostatnich czasach na ludziach szczepu Nez Percé – doprowadziła trzech naszych młodych opętańców znad Salmon River do rozpaczliwego czynu. Owych trzech – wojownik Walajcis, jego kuzyn Sarpsis i ich najbliższy przyjaciel Biały Mokasyn – nic nikomu nie mówiąc, korzystając z nieobecności Wodza Józefa w obozie, wyruszało potajemnie w nocy do farmy Larry'ego Otta, który przed dwoma laty podstępnie zabił ojca Walajcisa. Wprawdzie trzej mściciele nie zastali Otta na miejscu, lecz zgładzili czterech jego sąsiadów, równie winnych jak on. Wśród nich był dobrze nam znany osobnik Richard Devine, który ohydnie, dla hecy, zakatrupił Dakoopina, starego, ułomnego Indianina z grupy Białego Ptaka.

Przewidując, jakie będą skutki tych zabójstw, ci trzej wróciwszy do swoich, pozostali poza domem, by nikogo nie obciążano ich czynem. Tymczasem siedemnastu innych młodych zapaleńców na wieść o tym, co się stało, przyłączyło się do nich. Cała ta zgraja dwudziestu mścicieli, wciąż pod nieobecność Wodza Józefa, pełna wojowniczego ferworu, wyruszyła przeciw innym zbrodniczym osadnikom nad Salmon River. I rzeczywiście, uśmiercili dalszych piętnastu białych, wszakże oszczędzając dzieci i kobiety Jankesów, z wyjątkiem jednej, przypadkowo postrzelonej.

Przerażenie padło na białych ludzi w całym dorzeczu Snake River, a złowieszczy wstrząs na wszystkich Nez Percé, generała Howarda zaś i oficerów garnizonu w Lapwaj ogarnął wściekły gniew.

Gdy Wódz Józef wrócił do obozu i dowiedział się o krwawym wyczynie dwudziestu młodzików, zdrętwiał. Siadł w kucki na ziemi i zapadł w milczenie. Wtem zjawiła się jego młoda żona, Wiosna Roku, i przykucnęła obok niego, żeby wiedział, że ona jest przy nim. I wtedy struchlała z przestrachu; zauważyła, że z oka wodza wypłynęła łza, rzecz straszna, niebywała. Ludzie z obozu pełni bojaźni patrzyli na nich z daleka.

– Hejmnot Towialaket! Gromie Nad Górami! – szepnęła żona trwożnie do niego. – Jesteś wodzem. Co z nimi się stanie?

Gdy zwrócił na nią oczy, łzy już nie było widać, natomiast bezdenny smutek tkwił w jego twarzy. Pytała o los dwudziestu młodych zabójców:

– Powiedz, czy biali ludzie powieszą ich? Powiedz!

– Nie! Nie dopuszczę do tego! – powiedział wódz. – Oni nie popełnili zbrodni. Oni tylko dokonali odwetu na białych.

– Ale jak ich obronisz, Hejmnot?

– Będzie wojna! – rzekł Wódz Józef zduszonym głosem. – Nasza wojna na śmierć i życie...

Cdn.

7

RIO KWAO

TEKST I RYSUNKI: JERZY WRÓBLEWSKI

ŚWIAT SMŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 3976/G O-38

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Odwieczna zagadka: tajemnice piramid egipskich.
- Co trzeba w życiu posiąść, co osiągnąć – aby miało ono sens, aby było szczęśliwe? – Trudne pytania i trudna odpowiedź. Chcecie wiedzieć, jak uporał się z nimi Szef Klubu „Konik polny"? – Polecamy „Wieczory pod lipą".
- W ogóle „ŚM" cały wakacyjny! „Konik polny", Klub Szperaczy, w „Redakcyjnej Poczcie" – oczywiście miłość, też wakacyjna.
- Od drewnianego dworu do wojskowego lazaretu, czyli siedem wieków Ujazdowa, czyli – „Królewski kaprys".

ARKADY FIEDLER • MAREK FIEDLER

INDIAŃSKI NAPOLEON GÓR SKALISTYCH

9

Gdy Wódz Józef zaczął układnie prosić o zwłokę, zwracając uwagę na ustaloną od pokoleń przyjaźń między Nez Percé a Amerykanami i na rozhukaną obecnie rzekę Snake, trudną do przebycia, zapamiętały generał pokazał mu pięść i prośbę odrzucił.

– Jeśli od dzisiaj za miesiąc – dodał ostro – znajdziemy w Wallowie cośkolwiek waszego, wszystko przepadnie, na rzecz białych osadników. Dość gadania!!...

Smutny był tego dnia nasz powrót do doliny Wallowa, gdzie zastaliśmy już pierwszych żołnierzy, wrogo na nas spozierających. Nie było innej rady, jak ulec przemocy i zgodzić się na rezerwat w Lapwaj. Młodzi postrzeleńcy chcieli chwycić za broń, ale starszyzna, choć z trudem, na razie ich uspokoiła. Obecność amerykańskich żołnierzy wśród naszych chat i namiotów była zbyt wymownym ostrzeżeniem, nie można było zapobiec złym szeptom. Rozpacz kazała niektórym naszym ludziom powtarzać poniżające dla Indianina słowa. Szeptano o miękkim człowieku, o słabym wodzu.

BĘDZIE WOJNA

Następnego dnia rano prawie wszyscy z naszej grupy rozjechali się po całej dolinie i zaczęli spędzać z łąk i z sąsiednich wąwozów bydło, tudzież muły i gnać je na wschód, ku rzece Snake. Nie upłynęły i dwa tygodnie, a na łodziach ze skóry bizonowej przedostała się na drugi brzeg rzeki przeszło połowa ludzi i także moc czworonożnego dobytku. Rzeka była bardzo wzburzona powodzią. Ale z ludzi na szczęście nikt nie zginął, natomiast zwierząt potonęło wiele. W tym piekielnym zamęcie trudno było utrzymać porządek, tym bardziej że biali sąsiedzi, osadnicy i mieszkańcy miasteczka Lewiston, przylatywali jak sępy i dokładali wszelkich starań, by nam utrudniać przeprawę.

Jeszcze wszyscy nasi nie opuścili Wallowy, a już tamci włazili na łąki i bezczelnie wykradali nam rozproszone bydło, gdzie tylko się dało. Wódz Józef surowo zakazał nam strzelać do napastników i nie pozwolił nam również burzyć naszych drewnianych chat, jakie pozostawialiśmy w Wallowie.

Dokończenie na str. 7

– Czy muszę wam jeszcze raz przypominać – oświadczył – że władze wyznaczyły dla was tereny w rezerwacie i tam bezapelacyjnie wszyscy Nez Percé muszą iść?

– Jak to?! – zaprzeczył zapalczywie Tuhulhulzot. – Czy muszę i ja teraz generałowi przypominać, że przecież nasza ziemia to nasza matka, nasz rodzic? Kto śmie nas odrywać od naszych rodziców, od naszego ciała, skorośmy tej ziemi nie sprzedawali? Kto nas z niej śmie wyrzucać?

– Ja! – warknął twardo Howard. – Ja zastępuję tu naszego Prezydenta, a Prezydent już przed dwoma laty kazał wam opuścić tereny...

Nasz rzecznik nie miał wtedy dobrego dnia. Zaczął się niezręcznie sprzeciwiać i wykłócać, to podnosił głos wyzywająco to pokorniał.

– Dość tego gadania! – zawołał w końcu Howard. – Już sto razy słyszałem o waszej świętej ziemi, o ojcach i matkach. Dość tej paplaniny!

Wódz Józef chciał się wmieszać w rozmowę i jakoś ułagodzić złe nastroje, jednak nie doszedł do głosu. Gniewny generał raptem kazał aresztować sprzeczającego się Tuhulhulzota i, ku naszemu oburzeniu, zawlec go do więzienia. Po czym ostro oświadczył wszystkim innym, że rozkazuje nam opuścić Wallowę w ciągu jednego miesiąca.

– Ani dnia więcej! – zawziął się. – Jeśli rozkazu nie wykonacie na czas, wypędzę was przemocą.

Na spełnienie tego bezwzględnego rozkazu wyznaczył termin zbyt szczupły. Przecież należało ściągnąć w jedną kupę stada naszego bydła i tabuny koni, rozproszone wśród zakątków doliny i sąsiednich wąwozów. Niezależnie od tego przeprawa ludzi i dobytku przez wzburzoną rzekę Snake, nabrzmiałą teraz wiosennymi roztopami, zapowiadała się wprost katastrofalnie.